

L

**Miejska Biblioteka Publiczna w Jaśle
Jaśło 2022**

i

r

J

y

a

c

s

z

ł

n

o

e

**Utwory laureatów
XXVII
Ogólnopolskiego
Konkursu
Literackiej
Twórczości
Dzieci
i Młodzieży**

Wydawca:
Miejska Biblioteka Publiczna w Jaśle
www.mbp.jaslo.pl

Korekta: Paweł Janas
Anna Koziół
Agnieszka Kozubal

Projekt okładki: Magdalena Chart

Druk: ATTYLA Władysław Kardasz, Jacek Kardasz Sp.j.

Copyright by Miejska Biblioteka Publiczna w Jaśle
ISBN 978-83-957913-5-2

spis treści

- 7** **Światy realne i nie(nad)realne**
- 9** **Lista osób nagrodzonych**
- 14** **Kategoria I**
Szkoły podstawowe, klasy 4-6
- 54** **Kategoria II**
Szkoły podstawowe, klasy 7-8
- 102** **Kategoria III**
Szkoły ponadpodstawowe

Światy realne i nie(nad)realne

Za nami XXVII edycja Ogólnopolskiego Konkursu Literackiej Twórczości Dzieci i Młodzieży, organizowanego przez Miejską Bibliotekę Publiczną w Jaśle. Do tradycji tego konkursu należy to, że swoiste podsumowanie każdej edycji stanowi antologia pokonkursowa, gromadząca prace nagrodzone i wyróżnione. Tradycją stało się również, że prezentowane utwory poprzedzone są krótkim wstępem, w którym jury nie tylko dzieli się swoimi wrażeniami z lektury, ale stara się także wskazać dominujące w danej edycji cechy i jakości światów, które rodzą się pod piórami, a właściwie klawiaturami, młodych autorów.

A trzeba przyznać, że jest co czytać, bowiem „średnia konkursowa” to około 600 prac. Odnotujmy, że w bieżącej edycji konkursu 283 autorów nadesłało łącznie 665 tekstów, wśród których 439 stanowiły wiersze, zaś 226 utwory prozatorskie. Dodajmy od razu, że ta druga kategoria, przynajmniej od paru lat, staje się coraz bardziej zróżnicowana. Mamy tu bowiem nie tylko opowiadania, ale także narracje diarystyczne, pamiętnikarskie, epistolarne, eseistyczne, czy też lokujące się na pograniczu prozy i poezji albo fikcji i faktu. Cieszy nas ta różnorodność, gdyż świadczy nie tylko o bogatych doświadczeniach lekturowych młodych ludzi, ale także o potrzebie przekraczania rygorystycznie określonych konwencji gatunkowych. Młodzi autorzy trafnie wyczuwają, że nasza „płynna rzeczywistość”; rzeczywistość chaotyczna, mozaikowa, symultaniczna, ... rzeczywistość „nadmiaru rzeczywistości” domaga się form synkretycznych, gdyż lepiej oddają one jej naturę, niż narracje tradycyjne i gatunkowo klarowne.

W bieżącej edycji konkursu sporą grupę tekstów stanowiły utwory wykorzystujące pomysł przechodzenia ze świata realnego do nierealnego, nadrealnego. Co ciekawe tego rodzaju narracje korzystały nie tylko z formatów: bajki, baśni, horroru, literatury fantasy, ale także z konwencji mniej oczywistych, jak choćby kryminał czy proza historyczna. Warto też dodać, że najlepsze utwo-

ry tego rodzaju unikały kreowania rzeczywistości według prostej opozycji prawdziwe-fałszywe albo dobre-złe. Młodzi dobrze wiedzą, że pogłębione, wiarygodne, wartościowe poznawczo i estetycznie ujęcia rzeczywistości muszą niuansować oglądy i oceny.

Bieżąca edycja potwierdziła również inną tendencję, która nasyła się od kilku lat. Otóż pojawia się coraz więcej dobrych i bardzo dobrych tekstów, zarówno poetyckich jak i prozatorskich, w których dominuje, rozmaicie ukazywana, demaskatorska postawa wobec rzeczywistości. Świadczy ona o tym, że młodym autorom nie brakuje odwagi i docieklivości, aby odsłaniać te procesy i mechanizmy naszego świata, które dewastują, czy wręcz demolują, przestrzeń rudymenarnych wartości, ale także ukazywać rozmiar duchowej erozji, jaka dokonuje się w nich samych. Nie trzeba dodawać, że w naszych czasach swoisty „imperatyw demaskatorski” odróżnia literaturę ważną i wybitną, od „przeciętnej produkcji literackiej”.

Skoro pozwoliłem sobie zabrać głos w imieniu szanownego jury, pora go przedstawić. Od lat prace konkursowe oceniamy w składzie: Aleksandra Dacyl (polonistka, animatorka kultury), Mariusz Kalandyk (poeta, literaturoznawca, redaktor naczelny rzeszowskiego „Kwartalnika Edukacyjnego”), Grzegorz Kociuba (poeta, krytyk literacki, polonista – przewodniczący jury), Jan Tulik (poeta, prozaik, eseista, dramaturg).

Jakby nie było jasielski konkurs wzbogacił się, poza wszystkim innym, o dwudziesty siódmy tom ciekawych i różnorodnych tekstów. Co dalej? Pozostaje mieć nadzieję, że w kolejnych edycjach będzie równie interesująco i intrygująco. A może nawet bardziej!

Grzegorz Kociuba

Lista osób nagrodzonych

Kategoria I Szkoły podstawowe, klasy 4-6

Wiersze

1 miejsce

Tośka – Antonina Mrowiec, kl. 5 Publiczna Szkoła Podstawowa nr 12 w Stalowej Woli – *cykl wierszy*

2 miejsce

Wiktot – Wiktoria Wotszel, kl. 5 Publiczna Szkoła Podstawowa nr 12 w Stalowej Woli – *cykl wierszy*

3 miejsce

Muzyk – Antoni Kosztyła, kl. 6 Szkoła Podstawowa nr 1 w Mielcu – *cykl wierszy*

Wyróżnienia

Blasia – Barbara Kotuła, kl. 5 Klub Literacki „Pegazik” Młodzieżowy Dom Kultury „Iskra” w Pile – *cykl wierszy*

Nico – Nikola Sowińska, kl. 6 Szkoła Podstawowa nr 1 w Przeworsku – *cykl wierszy*

Bastek – Sebastian Chyła, kl. 6 Publiczna Szkoła Podstawowa nr 12 w Stalowej Woli – *cykl wierszy*

Opowiadania

1 miejsce

OT2011 – Aleksander Tosik, kl. 5 Szkoła Podstawowa nr 1 w Pszowie – *cykl opowiadań*

2 miejsce

Mrówka – Antonina Mrowiec, kl. 5 Publiczna Szkoła Podstawowa nr 12 w Stalowej Woli – *cykl opowiadań*

3 miejsce

Gamma – Natalia Miechowska, kl. 6 Szkoła Podstawowa z Oddziałami Integracyjnymi nr 344 w Warszawie – *Duzi i mali*

Wyróżnienia

Mucia – Milena Bołbot, kl. 6 Szkoła Podstawowa nr 1 w Wadowicach – *cykl opowiadań*

Bursztynek – Wanessa Synowiec, kl. 5 Zespół Szkolno-Przedszkolny w Przyrowie – *Jasielskie Boże Narodzenie z przytupem*

Cissa – Pola Jonko-Małecka, kl. 6 Szkoła Podstawowa nr 2 w Siechnicach – *cykl opowiadań*

Kategoria II Szkoły podstawowe, klasy 7-8

Wiersze

1 miejsce

Gabrysia_06 – Dobrochna Kołoczek, kl. 6 Szkoła Podstawowa z Oddziałami Integracyjnymi nr 12 w Krakowie – *Problem*

2 miejsce

Jan – Adam Cieślak, kl. 8 Szkoła Podstawowa nr 1 w Lublinie – *cykl wierszy*

3 miejsce

Marynia – Maria Błaszkwicz, kl. 8 Niepubliczna Szkoła Podstawowa LOKOMOTYWA w Sopocie – *cykl wierszy*

Wyróżnienia

Natka – Natalia Królikowska, kl. 8 Szkoła Podstawowa nr 2 w Trzebiatowie – *Dzień z życia lenia*

Grechut – Grzegorz Sobkiewicz, kl. 7 Publiczna Szkoła Podstawowa nr 12 w Stalowej Woli – *cykl wierszy*

Bisobi – Bianka Biliczak, kl. 8 Publiczna Szkoła Podstawowa nr 24 w Opolu – *cykl wierszy*

Mouse – Daria Maria Myszka, kl. 8 Zespół Placówek Oświatowych nr 3 Szkoła Podstawowa nr 3 z Oddziałami Integracyjnymi i Sportowymi w Międzyrzeczu Podlaskim – *cykl wierszy*

Opowiadania

1 miejsce

Edi – Julia Ueda, kl. 8 Szkoła Podstawowa nr 9 STO w Warszawie – *Niebieskie słuchawki*

Levram – Agata Przygodzka, kl. 7 Szkoła Podstawowa nr 9 STO w Warszawie – *Łabędzie nie płaczą*

2 miejsce

PruHunka – Amelia Cichoń, kl. 8 Szkoła Podstawowa nr 1 w Skrzyszowie – *cykl opowiadań*

3 miejsce

Hortensja Labouchere – Zofia Marczak, kl. 7 Szkoła Podstawowa nr 9 w Skierniewicach – *cykl opowiadań*

Wyróżnienia

Anta – Aleksandra Kocot, kl. 8 Szkoła Podstawowa nr 36 w Bytomiu – *cykl opowiadań*

Brzoza – Katarzyna Karaś, kl. 8 Szkoła Podstawowa nr 33 w Krakowie – *Nie daj się zabić*

Mari – Marianna Sprenger, kl. 8 Szkoła Podstawowa nr 84 w Poznaniu – *cykl opowiadań*

Kategoria III Szkoły ponadpodstawowe

Wiersze

1 miejsce

Batat – Joanna Czubernat – kl. 3 I Liceum Ogólnokształcące w Nowym Targu – *cykl wierszy*

2 miejsce

Xawery – Jakub Borys, kl. 3 I Liceum Ogólnokształcące w Jarosławiu – *cykl wierszy*

3 miejsce

WiBi – Anna Wiktoria Biliczak, kl. 2 Społeczne Językowe Liceum Ogólnokształcące w Opolu – *cykl wierszy*

Wyróżnienia

Julia – Julia Kowalczyk, kl. 2 VI Liceum Ogólnokształcące w Kielcach – *cykl wierszy*

Kuba M. – Jakub Miklus, kl. 1 Samorządowe Liceum Ogólnokształcące w Stalowej Woli – *cykl wierszy*

Ranna Cebula – Julia Nguyen Van, kl. 2 I Liceum Ogólnokształcące w Jaśle – *cykl wierszy*

Banachówka – Zuzanna Banach-Dziura, kl. 3 I Liceum Ogólnokształcące w Jaśle – *Człowiekowi z lustra*

Opowiadania

1 miejsce

Krokis – Jakub Krok, kl. 2 I Liceum Ogólnokształcące w Krakowie – *cykl opowiadań*

2 miejsce

Wera – Weronika Łopacka, kl. 3 Liceum Ogólnokształcące w Międzyrzeczu Podlaskim – *cykl opowiadań*

3 miejsce

Tristan – Sebastian Suchecki, kl. 4 Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych w Łomży – *Kongregacja cieni*

Wyróżnienia

Szept – Hanna Gołąb kl. 3 III Liceum Ogólnokształcące w Katowicach – *Nasz czerwony samochód*

Artemida – Emilia Malinowska, kl. 1 VI Liceum Ogólnokształcące w Kielcach – *Zrękwiny*

Tutek – Kajetan Struski, kl. 1 I Liceum Ogólnokształcące w Gliwicach – *Nie boli a powinno*

Kategoria I

Szkoły podstawowe klasy 4-6

Wiersze

1 miejsce

15 Antonina Mrowiec: *Wyrok*

2 miejsce

16 Wiktoria Wotszel: *Ból głowy, Tylko nie PIN*

3 miejsce

17 Antoni Kosztyła: *Szkatułka z marzeniami*

Wyróżnienia

18 Barbara Kotuła: *Łańcuch*

19 Nikola Sowińska: *Mój pies*

19 Sebastian Chyła: *Czekam*

Opowiadania

1 miejsce

20 Aleksander Tosik: *Skomplikowany świat dorosłych*

2 miejsce

27 Antonina Mrowiec: *Żarł pan ten żur, Monsieur?*

3 miejsce

30 Natalia Miechowska: *Duzi i mali*

Wyróżnienia

42 Milena Bołbot: *Złoty jelen*

47 Wanessa Synowiec: *Jasielskie Boże Narodzenie z przytupem*

51 Pola Jonko-Małecka: *Zabawa w znikanie*

Antonina Mrowiec (Tośka), kl. 5
Publiczna Szkoła Podstawowa nr 12
w Stalowej Woli

Wyrok

Na ławie oskarżonych
z wyrokiem
wydanym przez nowoczesnych, bezmyślnie pędzących
po asfaltowych ulicach życia

My, drzewa, przyjaciele ziemi
niewinne, bezradne
skazane za płaszcz cienia zarzucany na spękaną ziemię
skazane za przytulny zakątek dla saren, dzików i ptaków
skazane za obmywanie powietrza z przemysłowej trucizny

My, drzewa, przyjaciele ludzi
towarzysze chwil radosnych i smutnych
Pod naszymi skrzydłami
romantyczne aleje zakochanych
głośne defilady rodzinnych uśmiechów
omszale mosty do drugiego człowieka
labirynty trzaskających myśli
ścieżki do wnętrza siebie proste, wydeptane

My, drzewa, z koronami na głowach, a bezbronne...

Budujesz kolejną drogę, wjeżdżasz na kolejną autostradę
wygodniejszą, szerszą
znowu przyspieszasz, pędzisz
ale dokąd i po co?

Niesprawiedliwy wyrok został wykonany
nad urzędowymi pieczęciami
unoszą się żałosne jęki dębowych liści
gorzki płacz sosnowych igieł
leśna księga życia została zamknięta...

Wiktoria Wotszel (Wikwot), kl. 5
Publiczna Szkoła Podstawowa nr 12
w Stalowej Woli

Ból głowy

Nauczycielka z pobliskiego Rzeszowa
Skarży się mężowi, że ją boli głowa
Tłumaczyła zawzięcie tabliczkę mnożenia
Doprowadzając swych uczniów do znużenia
Na dodatek odwiedziła ją teściowa

Tylko nie PIN!

Młodzieniec Antoś z tegoż oto Jasła
Pragnął, by miłość do Oli nie zgasła
Zmywał naczynia, robił sałatki
Zawsze przynosił jej świeże kwiatki
Nie dał jej tylko PIN-u do konta ani hasła

Antoni Koszyła (Muzyk), kl. 6
Szkoła Podstawowa nr 1 w Mielcu

Szkatułka z marzeniami

Mam w domu pudełko w szufladzie ukryte,
szkatułkę malowaną we wzory rozmaite.
Trzy zielone szkiełka zdobią wieko skrzyni
błyszczą gdy je słońce muśnie promieniami swymi.
Trzymam w tej szkatułce marzenia schowane,
w złoty papier owinięte, wstążką przewiązane.
Są tam te malutkie i te całkiem duże,
marzenia domowe, marzenia podróżne,
marzenia świąteczne, marzenia zimowe,
zwykłe, szare marzenia i te kolorowe.

Karmię je codziennie mlekiem cierpliwości,
sałatką z wyobraźni, wiary, wytrwałości.
Trud i ciężka praca to ich przysmak wielki
uwielbiają go bardzo – tak jak ja brukselki.
Lubią, gdy im czytam głaszczę i przytulam,
kiedy trzeba kocem z dobrych snów otulam.

Marzenia bardzo się cieszą, kiedy z nimi jestem,
potrafię je przywołać jednym małym gestem.
Gdy mnie smutek nachodzi i nuda dopada
wtedy takie marzenie na dłoni mi siada,
patrzy w oczy głęboko i wesoło się śmieje
a ja przestaję się trapić i znów mam nadzieję.

Marzenia są moją siłą one szczęście mi dają
a najbardziej to lubię kiedy się spełniają.
Gdy marzenie urośnie to się spełniać zaczyna,
wygląda wtedy jak czterolistna koniczyna
Zielono mi w głowie i w sercu

świat się robi zielony.
Jestem szczęśliwy i dumny
i też się czuje spełniony.

Wtedy w myślach się rodzi nowe malutkie marzenie,
wpada do szkatułki i czeka na spełnienie.
Chciałbym, gdy pod koniec życia listę swych marzeń odtworzę,
Zobaczyć, że spełniły się wszystkie,
co daj mi dobry Boże.

Barbara Kotula (Blasia), kl. 5
Klub Literacki „Pegazik”
Młodzieżowy Dom Kultury „Iskra” w Pile

Łańcuch

Czemu? Powiedz czemu?
Dlaczego sądzisz,
że osoby smutne,
płaczące po nocach nie mogą się śmiać,
muszą zawsze siedzieć ze spuszczoną głową?

Powiedz czemu?
Czy zawsze pies na łańcuchu jest osowiały?
Ja nie raz widziałam psa na łańcuchu,
który skakał,
merdał ogonem...

Smutni ludzie mogą śmiać się przy innych,
ale serce im pęka.
Są jak kwiaty na słońcu,
bez dostępu wody,
chwile wytrzymają potem uschną.

Pies może zerwać łańcuch.

Człowiek też może obrać inną drogę i poczuć szczęście w sercu.

Nikoła Sowińska (Nico), kl. 6
Szkoła Podstawowa nr 1 w Przeworsku

Mój pies

Kilo szczęścia
Dwa szczeknięcia
Cztery łapki
Mokry nosek
I ogonek jak antenka
Choć jest taki mały i szczekaty, kochamy się jak wariaty
Czujny jak łasica
Szybki jak Kubica
Mniejszy od każdego kota
W głowie jest mu psota
Choć jest mokry i zmarznięty
To nie straszne mu górskie zakręty.

Sebastian Chyła (Bastek), kl. 6
Publiczna Szkoła Podstawowa nr 12
w Stalowej Woli

Czekam

Gdy ponury deszczowy listopad otulił drzewa i domy
– czekam...
na zimę, na białe święta.
Mroźny grudzień czarny monitor zakaz wychodzenia z domów
– czekam...
by spotkać się ze znajomymi, by żartować, rzucać śnieżkami.

Marzec jeszcze szary, ponury, mogę jeździć na rowerze, spotkać się ze znajomymi

– czekam...

aż słońce wyjdzie zza chmur, aż w końcu zrobi się ciepło, miło, fajnie, aż lato przyjdzie.

Czekam...

Na wspólne rajdy rowerowe, rolki, motor, piłkę, konie, obozy, wyjazdy, długie dni,

na radość wspólnie spędzonego czasu.

Aleksander Tosik (OT2011), kl. 5
Szkoła Podstawowa nr 1 w Pszowie

Skomplikowany świat dorosłych

Wiele razy zastanawiałem się nad tym, dlaczego bywam smutny. Ktoś powie, że mam wszystko, co może wymarzyć sobie chłopak w wieku lat dziesięciu. Mam troskliwych rodziców, kochających dziadków, kolegów, duży pokój, boisko przed domem, swoje pasje, odnoszę sukcesy. Powodem mojego smutku są obserwacje zachowania dorosłych. Ich postępowanie i sposób myślenia. One to sprawiają, że NIGDY nie chciałbym być jednym z NICH. Mój dziadzius mawia, że *wszystko w życiu płynie zgodnie z kierunkiem natury, ma swój początek i koniec*. Co znaczy chyba tyle, że nie jesteśmy w stanie pewnych rzeczy przeskoczyć ani zmienić. To powoduje, że kiedyś, czy tego chcę czy nie, będę musiał zostać dojrzałym człowiekiem. Moi koledzy często rozmawiają o tym, że fajnie jest być dorosłym i nie potrafią doczekać się dnia, w którym staną się pełnoletni. Będą mogli wtedy NIBY robić wszystko, co tylko zechcą... Ja nie do końca się z nimi zgadzam, ponieważ myślę, że dorosłość to skomplikowana część życia. W niej nic nie jest tak proste. Dorosli wiele rzeczy komplikują. Poszukują na siłę problemów, których nie ma. Produkują je jak w fabryce. Tworzą coś, co nie istnieje. Wszędzie

knują spiski i potem opowiadają na ich temat niestworzone historie. Zazdroszczą innym sukcesów i obmawiają. Dziadzius mówi, że *świat jest fajny, tylko ludzie są do bani*. I ja się z nim zgadzam. Tak właśnie bywa w świecie dorosłych! Dorosli zamiast cieszyć się z tego, co mają, to szukają dziury w całym, a potem się denerwują że są nieszczęśliwi, albo mówią że los nie jest dla nich łaskawy i ciągle mają pod górkę. Ja jakoś nie widzę tych górtek. Dorosli nie potrafią mówić innym dobrych słów...

Wracając do mojego smutku, bo o tym chcę pisać.

Pamięć mam dobrą. Ta „niby” zaleta czasem bardzo mi przeszkadza (podobnie jak przeszkadza mi gadulstwo, ale to już chyba zauważyliście 😊). Czasem mam wrażenie, że za moment zabraknie mi wolnych szufladek w mózgu, żeby wszystkie informacje w nim pomieścić. Nie potrafię wyrzucić z głowy tego, co w zwojach czaszki przechowuję. Wiele rzeczy pamiętam ze szczegółami. Rzeczy, które na nic mi się nie przydadzą i są mi zbędne. Na przykład, pamiętam, jakiego kształtu był mój ulubiony gryzak i ile gumowych guziczków znajdowało się na jego chropowatej powierzchni. Pamiętam też to, że mój ulubiony śliniak był koloru niebieskiego, a na nim znajdował się obrazek śmiesznego ślimaka, który miał jedno przymknięte oko. Pamiętam też, że mając dwa lata zbiłem kryształową kulę, w której znajdował się maziowaty płyn ze styropianowym śniegiem i plastikową postacią Mikołaja wewnątrz. Starszy pan stał na jednej nodze, udając, że tańczy... Przeogromny był wówczas raban, bo mama nie potrafiła zmyć tej mazi wodno-śniegowej z dywanu. Takich przykładów mogę wymieniać jeszcze sporo. Ale pytam, na co mi ta wiedza? Nie wiem. Chyba po to, by było mi smutno, że czasy beztroskiego dzieciństwa minęły już na zawsze... Ja każdego dnia jestem coraz bliżej tego wydarzenia, w którym będę musiał stać się dorosłym...

Jestem jedynakiem. To też jest dla mnie powodem smutku. Żał mi, że nie mam kogoś, kogo mógłbym nazwać bratnią duszą. Taką z krwi i kości. Nie mam tu na myśli przyjaciela, wiecie o co chodzi. Oczywiście jest mama i tata, jest babcia i dziadek. Wszyscy są mili, kochani, życzliwi, mówiąc po mojemu – fajni. Jednak

to nie to samo, co mieć brata. Najlepiej starszego, takiego, który wszystkiego nauczy, wszystko pokaże i uchroni przed złośliwymi kolegami Takiego brato-kumpla od wszystkiego! Na starszego brata raczej już szans nie mam. Z oczywistych powodów... Na młodszego raczej już też nie. Mama od kilku lat mówi, że „jest panią w średnim wieku”. Dokładnie nie wiem, co to znaczy, wiem jednak na pewno, że mama ma 47 lat i stale powtarza, że mogłaby być moją babcią. Dorośli są dziwni, nie uważacie? Często mówią takim zawilim językiem, zamiast powiedzieć wprost, o co im chodzi. Płaczą się w zeznaniach, a potem wymagają od nas, dzieci, aby mówiły w sposób jasny i zrozumiały. Moja mama często mówi do mnie – *puentuj!* (rozumiem, co znaczy ten wyraz ale jest dla mnie tak trudny, że nawet nie jestem pewien, czy go dobrze zapisałem). Wszystko to sprawia, że nie chcę być dorosłym. Nie potrafię owijać w bawełnę, nie umiem się wyrażać przy pomocy trudnych słów. Po co mi to? Szkoda na to czasu...

Wracając do mojego smutku. Brata mieć nie mogę, to już wiecie. Teraz opiszę kolejną sprawę, która przyczynia się do mego smutku – zwierzę, którego też nie mogę przygarnąć. Mama twierdzi, że najpierw trzeba być odpowiedzialnym za siebie, by móc zaopiekować się kimś innym. Ze słów, które słyszę codziennie, wynika że należy mieć głowę na karku, a nie bujać w obłokach jak Ikar. Mama mówi też, że jedno zwierzątko domowe już ma i że zamieszkuje ono korytko, które tylko ładnie wygląda, gdy składają mu wizytę osobniki jego gatunku. Nic z tego nie rozumiem, co mama mówi ale skoro tak mówi, widocznie coś w tym jest. Szukałem nawet tego zwierzęcia w moim pokoju ale nic nie znalazłem. Nawet pod dywanem i kanapą, pod którymi praktycznie jest wszystko, co należało „na już” ogarnąć. Z drugiej strony, ja mam głowę na karku (przed chwilą sprawdzałem) i jestem odpowiedzialny (tego sprawdzić nie mogę, więc nie będę powoływał się na żadne dane). Żadnego Ikara osobiście nie znam. Znam tylko tego, który „ulotnie” występował w jednym z omawianych na lekcji mitów. Jednak nie widzę tu żadnych rodzinnych pokrewieństw ze mną. Codziennie chodzę do szkoły, ubieram się i po kilka razy dziennie myję zęby,

dbam o nowe buty. Biorę odpowiedzialność za moje przewinienia, czasami pomagam rodzicom w domu. Od dłuższego czasu grywam w piłkę nożną i oczywiście gry komputerowe. Czy to nie jest odpowiedzialność, skoro robię wszystkie te rzeczy, a jest ich tak wiele? A zwierzątka nadal mieć nie mogę. Mama się uparła i tyle! Jednak słuchajcie, jest jakiś punkt zaczepienia. Skoro, jak stwierdziła mama, jedno zwierzątko już posiada (choć ja nie mogę zidentyfikować, gdzie ono jest), to weselej byłoby mu skombinować kogoś do pary. Dziadzius mawia, że *w kupie raźniej*.

*

Dorośli bywają niekonsekwentni. Mama stale mi powtarza, że należy mówić prawdę i okazywać ludziom należny szacunek. Nie wolno ich oszukiwać i obmawiać. Staram się tak robić, jednak po jakimś czasie stosowania się do tych nakazów mamy stwierdzam, że coraz mniej mi się to opłaca. Dlaczego? Zaraz Wam udowodnię, opisując dwa przykłady.

Sytuacja numer jeden: szkoła. Pani zapytała mnie na lekcji, dlaczego nie wykonuję ćwiczeń, które zadała. Ja na to, że skończyłem dwie minuty temu. Pani pyta ponownie, dlaczego w takim razie maluję na kartce jakieś ludziki, skoro jest lekcja. Ja na to, że zrobiłem zadania i nudzi mi się. Wtedy się zaczęło! Kazanie że jestem niewychowany, niekulturalny, niegrzeczny i bezczelny (tych określeń padło jeszcze kilka, ale nie będę ich tu wymieniał). Pani nie rozumie, że na lekcji jest nudno, i nie ciekawi mnie sposób prowadzenia przez nią lekcji. Nie – dosyć tego. Za to złe wychowanie otrzymałem ujemne punkty z zachowania. I szczerze Wam powiem, nie wiedziałem, jak to powiedzieć mamie, żeby Jej nie było przykro. Przecież uczy mnie, by zawsze mówić prawdę. Za każdym razem, jak coś nabroję jest smutna i mówi coś półszepem o błędach wychowawczych które popełniła. Przecież moja Mama jest – THE BEST. Nie chcę, żeby źle o sobie myślała. Nie chcę Jej martwić... Ratusuuuu! Co mam zrobić? Jak wybrnąć z tej zawilej sytuacji? Moja mama, gdy mówię, że mi się nudzi, zasypuje mnie

robotą (średnio mi to pasuje, więc rzadko mówię o nudzie), a jak ma czas, to robimy coś wspólnie – gramy w karty, w gry planszowe, pieczemy ciasteczka, robimy sałatki w ilości – jak mawia tata – godnej wygłodzonego batalionu wojska. Czasami oglądamy coś w telewizji, ale bardzo rzadko, bo mama unika rozrywek z tej pasjonującej mnie gadającej skrzynki. Mówi, że to *mało wartościowy* zabijacz czasu. Przyznam szczerze, że wiele razy przyglądałem się temu urządzeniu i śmiem stwierdzić, że nigdy na moich oczach nikogo nie zabiło, więc nie wiem, o co mamie chodzi. Wybaczę Jej jednak wszystko, nawet bezpodstawną obrazę telewizora, bo bardzo ją kocham (owe informacje potraktujcie jako ściśle tajne).

Sytuacja numer 2: szkoła. Poszarpałem się z kolegą na lekcji wychowania fizycznego. Walczyliśmy o przejęcie piłki i wszystko zaczęło się od ciągnięcia za koszulkę. Potem już było coraz ostrzej. Wiem, niezbyt fajne to było zachowanie. *Bodziec, prowokacja i reakcja* – mawia dziadzio. Ową reakcję uważam w tym wypadku za zbyt dużą. Trener piłki nożnej nieraz mi tłumaczył, że nie warto zdobywać czegoś siłą. Takie zachowanie nie jest godne sportowca. Oczywiście, jak przystało na sportowców, przeprosiliśmy się z kolegą i podaliśmy sobie ręce – tak sami od siebie, zanim TO wszystko się rozpełtało. Myślałem, że sprawa została załatwiona. Dwóch chłopaków, którzy lubią kopać w piłkę, rozwiązało sprawę bez udziału dorosłych. Przeprosiło się i po sprawie! Nic z tego! Po lekcji pani wezwała mnie i drugiego sprawcę szarpaniny do swojego gabinetu. W obecności kolegi zapytała, dlaczego wdałem się z nim w bójkę (teraz to była już bójka), skoro na pierwszy rzut oka widać, że jestem słabszy od niego. Zdenerwowałem się tym omylnym wnioskiem, że jestem słabszy, zwłaszcza że mój współtowarzysz od momentu, w którym pani nazwała szarpaninę bójką wystawił mi za jej plecami kilka razy język (pokazując tym samym, gdzie jest moje miejsce w szeregu). W mojej głowie wszystko się kołowało (prawie jak w bębnie dziadkowej pralki). Skąd pani wie, że jestem słabszy? Bo jestem niższy, gorszy, czy dlatego że nie skarżę jak kolega i nie używam jako narzędzia manipulacji płaczu na zawołanie. To

w swych niecnych praktykach mistrzowsko wykorzystuje mój kolega? Postanowiłem jednak nad sobą zapanować i grzecznie odpowiedziałem, że nie wiem ale może dlatego, że kolegi nie lubię. Dokucza mi, wyzywa mnie od maminsynków-jedynaków, potem skarży się nauczycielom i robi z siebie ofiarę, wywołując płacz na zawołanie. Pani bardzo się zdenerwowała na mnie, o to że mówię złe rzeczy o koledze i wpisała mi negatywną uwagę (za to kolega znów wystawił mi język, tak aby nauczycielka nie zobaczyła). Dostałem uwagę nie za to, że się szarpałem z kolegą ale za to, że go nie lubię. Nic z tego nie rozumiem. Powinienem ponieść karę ale za coś zupełnie innego. Moja wina. Mogłem się nie odzywać i nic pani nie odpowiedzieć, a przede wszystkim nie mówić prawdy. Mimo wszystko nauczyciel pytał, więc odpowiedziałem, szczerze, jak uczy mnie mama. Pani nauczycielka wykorzystała moją prawdomówność, by mnie ukarać i wpisać uwagę do dziennika. Później kolega od bijatyki grał mi na nosie i śmiał się że dostałem uwagę, a on nie. Tylko się załamać, cóż – świat dorosłych!

Moja mama zawsze tłumaczy, że każdemu trzeba dać szansę, że trzeba człowieka poznać w różnych sytuacjach, a dopiero potem ocenić. Zamiast bezpodstawnie powiedzieć, że kogoś się nie lubi. Więc tak też zrobiłem. Ten Jarek wiele razy ubliżał mi słownie. Wyzywał mnie od mięczaków, synków mamusi, kujonów i innych. Pal licha! Mama mówi, że mam prawo lubić kogo chcę, ale nie mam prawa okazywać tego tym, których nie lubię. Więc tak też robię, stosuję się do rad mamy. Po prostu unikam takich osób. Nie dokuczam im, nie prowokuję, tylko czasami bronię się przed nimi. Nie powiedziałem koledze wprost, że go nie lubię. Nauczycielce, skoro zapytała, skąd wziął się problem z szarpaniem, odpowiedziałem zgodnie z prawdą. Dlatego znowu jest problem i co gorsza, to dostałem drugą uwagę w tym tygodniu za mówienie prawdy (o wczorajszej pisałem wcześniej). Idąc do domu, znowu mam poczucie winy, że zawiodłem mamę. Chyba utnę sobie ten mój długi jęzorz. Nie lubię siebie za to że wpadam w kłopoty. Staram się dostosować do tego co mówią dorośli, a oni sami są (jak to się mówi? Aha, już mam) niekonsekwentni. Robią mi przez to bałagan w głowie. Dlatego nie

wiem, co i kiedy mogę robić, co wypada, a co nie. Nie rozumiem czego się ode mnie oczekuje. Ja naprawdę staram się być dobrym chłopcem (nie tak jak Pinokio 😊). Jedyna pocieszająca rzecz jest w tym, że jak mówi Dziadzius, *ludzie sami siebie nie rozumiejąc, nie potrafią zrozumieć innych ...* To tyle moich przemyśleń na dziś. Kończę i idę pogrzebać w szufladzie ze słodyczami. Wiem, to nie jest zdrowe, ale to nie moja wina, że niestety, nie wdałem się w dziadka, który *ze wszystkich słodyczy najbardziej lubi pasztet ...*

Ps. Poniżej kilka moich „obserwacji” na temat dorosłości i jeden wierszyk, a co! (żeby nie było, że nie jestem ponurakiem i nie mam poczucia humoru jak dorośli 😊).

Obserwacje

Dorosłość jest jak zdeptane pantofle. Niby nie uwiera, ale przyglądając się jej z bliska można stwierdzić, że nie wygląda zbyt ładnie.

Dorosłość jest jak dzieciństwo, tylko w gorszym wydaniu. Wiele w niej hałasu o nic, niezrozumienia, walki o swoje, wymuszania i marudzenia. Ciągłe zabawy w ciuciubabkę i gry w Piotrusia...

Wierszyk

*Czary mary, dwa zegary
Tyś jest dziecko, on jest stary
On jest smutny, Ty radosny
Oby do następnej wiosny...*

*Czary mary, dwa zegary
Jego problem, Twoje czary
Wolę być dziecinny stale
Niż dorosłym niebywale ...*

Kochani Dorośli, pamiętajcie o tym, że kiedyś, całkiem niedawno, byliście dziećmi. A może nadal nimi jesteście, tylko wstyd Wam o tym mówić? Nie zapominajcie, że życie i świat nie są szaro-bure i ponure ale kolorowe i odlotowe... Wiem coś o tym, choć mam dopiero dziesięć lat.

**Antonina Mrowiec (Mrówka), kl. 5
Publiczna Szkoła Podstawowa nr 12
w Stalowej Woli**

Żarł pan ten żur, Monsieur?

Nic nie wskazywało na to, że ten pochmurny poniedziałkowy poranek poczyni tak wiele zmian w moim życiu...

– Je m'appelle Antoinette. J'habite à Zielona Góra. Bonjour, monsieur Bogacki.

Zapadła cisza...

– Twoja kolej. Powtórzysz? Antosia!!!

Te groźne zdania zabrzmiały w pustej przestrzeni pomiędzy prawym i lewym uchem a wewnętrzną częścią mojego czoła. Tępy, bolesny echem odbijały się raz i drugi, nie napotkawszy na swej drodze żadnej przeszkody, wybudziły mnie z zamyślenia nad nowymi przygodami Hanki, która właśnie wybierała się w szaloną podróż na pustynię.

– Yyyy, to jest...hmmm... Może pan powtórzyć?

Bogacki był nieprzejednany. Zawziął się na mnie okrutnie. Za punkt swojego belferskiego honoru postawił sobie wyedukowanie mnie na osobę biegle władającą językiem francuskim.

– Antonino!!! – wrzasnął.

– Je zem blee Antonet. Zabita Zielona Góra. Żarł Pan ten żur, panie Bogacki?

Wypowiedziawszy rolę życia, kokieteryjnie zatrzepotałam rzęsami, w myśl mojej życiowej dewizy: „czego się nie dopowie, to się dowygląda”.

Niestety niewiele zdołałam wychwycić z ostatnich słów nauczyciela. Po kolorach występujących aktualnie na twarzy profesora Bogackiego wywnioskowałam, że nie do końca udało mi się powtórzyć jego wypowiedź. Wszystkie znaki na niebie i ziemi podpowiadały mi, że powinnam pomyśleć nad nową życiową maksymą.

Po krótkiej zenującej ciszy cała klasa parsknęła śmiechem. Śmiechem, jakiego jeszcze nigdy nie słyszałam. Śmiechem przenikliwym, zawodzącym, szalonym, graniczącym z obłędem. Bogacki spojrział na mnie litościwie i podjął bezskuteczną próbę ujarzmienia tego drwiącego rechotu. Wtedy w moją stronę poleciały papierowe kule, odbijały się ode mnie niczym śniegowe płatki w piękny, wigilijny wieczór. Nie mogłam udźwignąć tej kompromitacji oraz ciężaru szyderczych spojrzeń koleżanek, kolegów i Bogackiego, wybiegłam z klasy, trzaskając drzwiami tak, że metalowa klamka wbiła się w gipsową ścianę, odciskając w niej pamiętne znamię. Przypadkiem też, przez moją nieuwagę, wystający z futryny gwóźdź, zaczepił o nadprutą nić mojej supermodnej sukienki.

Czy ktokolwiek jest w stanie sobie to w ogóle wyobrazić? Nie? Halo! Łączymy fakty kochani!!! Po kolei. Żenada, wybiegam z sali, trzaskam drzwiami, nitka zahacza o gwóźdź, biegnę do wyjścia, nitka się ciągnie Zbiegam na parter, w drzwiach stoi Maciek... Wow... Maciek... Kocham Maćka... To najprzystojniejszy w szkole siódmoklasista! Obiekt westchnień wielu nastolatek. Maciek nigdy nie zwracał na mnie uwagi ale ja mimo tego wciąż go kocham. O rany, ale fajnie, właśnie Maciek zwrócił na mnie uwagę. Uśmiechnął się do mnie, nie śmieje się do mnie. O Nie!!! On śmieje się ze mnie!!! Ratunku! Gdzie jest moja sukienka? Została z niej tylko spruta nitka...

– Cześć, Maćku – bąknęłam zmieszana i nie czekając na odpowiedź, zniknęłam za wahadłowymi drzwiami.

– Cześć Antosia! – dobiegł mnie roześmiany głos z korytarza.

Chętnie bym z nim pogadała ale pobiegłam dalej. Chyba sami rozumiecie dlaczego. Załamana ostatkiem sił zerwałam kotarę wiszącą w szkolnej sieni i wbiegłam do szatni. A tam?

Klasa V a wróciła właśnie z muzeum, w którym odbywała się lekcja historii. Gdy mnie zobaczyli, zaczęli zachwycać się moimi – potarganymi karkołomną ucieczką – włosami. Stwierdzili, że nadążam za trendami i pewnie wydałam fortunę na fryzjera. Byłam zaskoczona tymi komplementami. Zwykle dzieci śmieją się ze mnie i nazywają kujonem albo dziwaczką. Głównie dlatego, że kocham

książki i potrafię spędzać nad nimi całe dni. Czytając, dryfuję po nieznanym oceanach, jednego dnia jestem na afrykańskiej pustyni, a kolejnego rozwiązuję zagadkę tajemniczego zaginięcia topowej piosenkarki w Nowym Jorku. Nie rozumiem, jak i dlaczego komuś może to przeszkadzać.

Tymczasem, wydarzyło się coś niespodziewanego. W szatni okazało się, że moja kreacja z kotary spodobała się dziewczynom tak bardzo, że pytały natarczywie w której galerii ją kupiłam. Oglądały ją z każdej strony, zachwycając się fantastycznym upięciem i oryginalną fakturą tkaniny.

Zrobiły mi wiele zdjęć i uzyskawszy moją zgodę, wrzuciły je na Facebooka. Wróciłam więc nieco oszołomiona do klasy i tu sytuacja powtórzyła się. Byłam totalnie zaskoczona.

Pod zdjęciami z moim wizerunkiem natychmiast pojawiło się całe mnóstwo miłych komentarzy, a pani od plastyki zaproponowała mi już na wtorkowej lekcji, abym zorganizowała szkolny pokaz mody. Bardzo chętnie przystałam na tę propozycję.

Na następnych zajęciach przeprosiłam pana Bogackiego, a on z uśmiechem odparł, aby zrobić karierę w modzie, powinnam biegle władać językiem francuskim. Myślę, że ma rację, więc wezmę sobie tę radę bardzo głęboko do serca. Powiem wam jeszcze, że Maciek zgodził się wziąć udział w pokazie mody i od pewnego czasu jesteśmy nierozłączni. Pracujemy razem nad dekoracjami, projektujemy stroje, tworzymy układ choreograficzny, świetnie się przy tym bawimy. Znajomi z klasy też jakoś przestali mi dokuczać, z zaciekawieniem obserwują tworzone przeze mnie stylizacje. Śledzą relacje z przygotowań do wielkiego pokazu, które regularnie wrzucam na Facebooka. Chłopcom przestały chyba też przeszkadzać moje opowieści o książkach. Odnoszę nieodparte wrażenie, że rozniecają w nich nawet czasem iskierkę ciekawości.

Pamiętajcie zatem – nawet największa tragedia i sytuacja, która nas paraliżuje, może obrócić się w pasmo radosnych sukcesów. Tak jak to miało miejsce w ten nieszczęsny poniedziałkowy poranek, który sprawił, że moje życie nabrało nowych kolorów.

Natalia Miechowska (Gamma), kl. 6
Szkoła Podstawowa z Oddziałami
Integracyjnymi nr 344
w Warszawie

Duzi i mali

Mam na imię Milan i mój świat stanął na głowie. Dosłownie, nawet nie wiem kiedy to się stało. Po prostu pewnego dnia wyjrzałem przez okno i moim zdumionym oczom ukazał się globus wielkości naszego bloku, który spokojnie leżał sobie na parkingu, nie zważając na wściekłe trąbienie samochodów. Od razu zawołałem tatę, który bez zainteresowania zerknął przez okno.

– Patrz, tato! – krzyknąłem. – Ten globus jest tak duży, jak nasz blok! Skąd się tu wziął? To sprzeczne z jakąkolwiek logiką!

Ojciec spojrział na mnie zmętniałym wzrokiem. Czyli znowu pił.

– Ach tak, synu? – wybełkotał. – A czy życie jako takie jest zgodne z logiką?

Tak zbyty opuściłem dom, wydając krótki komunikat przez krótkofalówkę: „Spotkanie pod moim blokiem”. Musiałem omówić to z przyjaciółmi. Na szczęście nie mogłem narzekać na samotność. Miałem Kamilę i Staśka. Miałem prawdziwych przyjaciół.

Stasiek pojawił się niemal natychmiast. Miał poważną minę, a w rękę ostrożnie dzierżył telewizor pomniejszony do rozmiarów kasztana. Kamila przyszła spóźniona, tłumacząc się:

– Mój blok sięga mi teraz do pasa, a mój tata do kostki. A na placu zabaw stoi sobie olbrzymia wieża Eiffla.

Mimo powagi sytuacji parsknąłem śmiechem. Kamila zgromiła mnie wzrokiem.

– Śmiej się, śmiej! I pozdrów ode mnie ogromny globus, który leży pod twoim blokiem!

Natychmiast przestałem się śmiać. Należało coś wymyślić. Tylko co i jak? Przyjaciele patrzyli w zamyśleniu na mnie, a ja na nich. Co za szczęście, że ich mam. Kamila jest już dorosła, niedawno skończyła osiemnaście lat. Aż cud, że nadal chce się ze mną przy-

jaźnić, twierdzi tata, gdy jest trzeźwy. Mówi, że to bardzo nietypowe, aby osiemnastolatka przyjaźniła się z dwunastolatkiem takim jak ja. Cała nasza znajomość zaczęła się dość nietypowo. Gdy miałem jakieś cztery, może pięć lat, podszedłem do niej na ulicy i zapytałem, czy chce zostać moją przyjaciółką. Dzisiaj oczywiście bym tego nie zrobił, jestem za stary na takie numery ale wtedy byłem jeszcze maluchem. Może dlatego właśnie Kamila, zauroczona moją dziecięcą słodyczą, zgodziła się na przyjaźń ze mną. A dzisiaj nie wyobrażam sobie życia bez niej.

Staśka poznałem w równie zaskakujących okolicznościach. Gdy spacerowałem z Kamilą przed jej blokiem – miałem już jakieś dziesięć lat, ona szesnaście – nagle coś wyskoczyło z krzaków i stanęło przed nami z zabawkowym łukiem w rękę. Był to Stasiek, wówczas dziewięcioletni chłopczyk, który lubił bawić się w Indian i policjantów. Dzisiaj chce zostać prawdziwym gliniarzem, takim co łapie złodziei i z trzaskiem zamyka kajdanki na ich nadgarstkach. Dlatego od razu, gdy trafimy na jakąś podejrzaną sprawę, zapisuje wszystko w swoim skrupulatnie prowadzonym czarnym notesie. Teraz też usiłował coś w nim zapisać, co nie było takie proste, ponieważ notes drastycznie się zmniejszył, a długopis znacznie powiększył.

– Do chrzanu! – wybuchnął wreszcie. – Naprawdę musimy coś z tym zrobić!

– Najpierw musimy znać całą sprawę – zaproponowała Kamila. – Proponuję, aby każdy poszedł do domu, znalazł wszystkie zwiększone lub pomniejszone przedmioty i jak najszybciej przyniósł je do... do... No właśnie. Zazwyczaj spotykaliśmy się u Kamili, która miała bogatych rodziców, własny pokój i w ogóle spore mieszkanie. Ale skoro jej blok się zmniejszył, to gdzie mamy iść?

– Na mnie nie patrzcie – zastrzegłem – Wiecie, bo u mnie...

Nie musiałem kończyć. Stasiek i Kamila znali moją sytuację i szczerze mi współczuli. Tata był często pijany, a ja miałem pokój z siostrą, co uniemożliwiało spotkania tylko we trójkę. Mały brzdąc bezwstydnie podsłuchiwał, a potem posłusznie raportował ojcu. Tata nie lubił Staśki (miał go za prawdziwego policjanta, a takowi nieraz przymykali go w izbie wytrzeźwień na dobę lub

dwie), co oznaczało, że za każde spotkanie z nim miałem szlabany i kary. Oczywiście bagatelizowaliśmy to na całego i spotykaliśmy się poza moim domem.

– Możecie przyjść do mnie – powiedział z ociąganiem Stasiak – znacie adres. Ale nie liczcie na ciasteczka i miłą atmosferę.

Niewiele wiedzieliśmy o jego położeniu. Z nielicznych aluzji, jakie czasami czynił, zrozumieliśmy, że jego rodzice non stop się kłócą, a potem wyładowują gniew na swoim jedynym synu i jego otoczeniu.

– Dobra, to tak za pół godzinki, okej? – Chciałem mieć czas na znalezienie wszystkich zmienionych przedmiotów.

– Okej.

Zrobiliśmy Tajny Uścisk Przyjaźni i rozstaliśmy się, po czym każdy ruszył w swoim kierunku.

Gdy dotarłem do domu, powitał mnie dobrze znany smród alkoholu i zachrypnięty śpiew ojca. Szybko zatrzasnąłem za sobą drzwi do pokoju.

Moja siostra Kasia siedziała na niepościelonym łóżku i usiłowała przytulić misia, który miał rozmiar pudełka od zapalek. Odebrałem jej go bez słowa. To był błąd.

– Ej! – zawołała płacząco, na całe gardło. – Co robisz?

– Cicho! – syknąłem, pomny, że ojciec może nas usłyszeć i wlepić mi szlaban za „krzywdzenie siostrzyczki”. Czy pijany, czy trzeźwy, Kasia była jego oczkiem w głowie, o czym ja mogłem tylko pomarzyć. – Muszę zebrać wszystkie przedmioty, które zmieniły rozmiar.

Spodziewałem się, że siostra zapyta „Po co?”, ale ona tylko wymamrotała, ocierając łzy:

– Masz podarte buty. Poproś tatę o nowe.

– Mhm – burknąłem. Schowałem do kieszeni małego misia i spróbowałem udźwignąć pięciogroszówkę wielkości talerza. Prawie przewróciłem się pod jej ciężarem, więc postanowiłem schować ją do plecaka. – Na pewno się zgodzi.

– Ale zapytaj.

Machnąłem niecierpliwie ręką i wrzuciwszy do kieszeni jeszcze kilka innych pomniejszych przedmiotów, wymaszerowałem z pokoju.

Gdy już byłem przy drzwiach, coś mnie tknęło i zawołałem:

– Tato? Kupisz mi nowe buty?

Wstał i chwiejnym krokiem zbliżył się do mnie. Poczulem ponownie odór alkoholu i usłyszałem jego gardłowy śmiech.

– Buty? Buty! Nowe buty! – wył mój ojciec, zataczając się i rechocząc. Potem splunął na podłogę i wycedził: – Chcesz nowe buty? Poproś mamusię.

W moich oczach stanęły łzy, co jeszcze bardziej rozśmieszyło ojca.

– Chłopaki nie płaczą! Tu-tu-du! – zaśpiewał. – Chłopaki nie płaczą! Trzasnąłem drzwiami i wyszedłem.

Właśnie. Chłopaki nie płaczą, nawet jeśli mają wiecznie pijanych ojców i matki, które ich totalnie lekceważą.

Bo moja mama mnie porzuciła. Zostawiła mnie na pastwę ojca. Rozstali się gdy miałem siedem lat, tyle, ile teraz Kasia. Nie rozumiałem dlaczego. Tata wyjaśnił mi bez ogródek:

– To był toksyczny związek. Twoja matka traktowała mnie tak, jakbym to ja był słabiutką kobietą, a ona mężczyzną. Bo to mężczyzna powinien przewodniczyć w związku, a u nas było odwrotnie.

Mama wyprowadziła się, zostawiając mnie i dwuletnią Kasię. Tata zaczął pić. Powoli obraz matki zacierał się w mojej pamięci. Kiedyś wpisałem jej nazwisko w wyszukiwarkę internetową w domu Kamili. Dowiedziałem się, że ma nowego męża i mieści się w czołowej setce najbogatszych bizneswoman w Polsce. Byłem z niej dumny. Ona ze mnie – nigdy. Opanuj się, chłopie – nakazałem sam sobie. Mogło być dużo gorzej. Przynajmniej mam przyjaciół i jeszcze rozwikłałem z nimi tę zagadkę.

Pod blokiem Staśka spotkałem Kamilę.

– O, jak dobrze, że jesteś – zagadała. – Jakoś bałam się, żeby wejść sama.

Szczerze mówiąc – ja też.

Sam blok był szarozółty i nie wyglądał zachwycająco, a z tego, co opowiadał Stasiak, w środku miało być dużo gorzej. Weszliśmy na pierwsze piętro po schodach, które wołały o natychmiastowy remont. Odetchnąłem głęboko i zapukałem do drzwi mieszkania, notując w pamięci, że ma ono numer trzynasty. Przez chwi-

łę za drzwiami panowała cisza, potem rozległo się prychnięcie i z mieszkania wychynęła kobieta o zgoła nieprzyjemnej powierzchowności. Miała krótkie, tłuste włosy i rozwścieczone oczka.

– My do Staśka – zdołałem wyjąkać.

– Stanisław! – wrzasnęła kobieta, odwracając się. – Jakiś bezdomny do ciebie!

Zrobiłem się czerwony jak burak, ale przy purpurowej twarzy Staśka, który wyłonił się zza pleców rozjuszonej niewiasty, wydałem się wręcz bledziutki.

– To nie jest bezdomny, mamó – wymamrotałem, wbijając wzrok w podłogę. – To jest mój przyjaciel.

Matka Staśka wydała stłumione parsknięcie, ale wtedy wkroczyła Kamila. Przez chwilę dwie przedstawicielki płci żeńskiej mierzyły się wzrokiem (spojrzenie matki Staśka błyskawicznie prześliznęło się po drogich ciuchach mojej przyjaciółki), aż wreszcie ta pierwsza odwróciła wzrok, chrząkając z zaskoczeniem.

– To... to też twoja znajoma, Stanisławie?

Stanisławie. Bez żadnych pieszczotliwych zdrobnień? Momentalnie zrobiło mi się żal Staśka, dopóki sobie nie przypomniałem, że na trzeźwo ojciec traktuje mnie tak samo. A gdy jest pijany jeszcze gorzej.

– Tak, to Kamila – Stasiuś podniósł wzrok.

– Zaprowadź ją do swojego pokoju. I tego bez... bez wątpienia miłego chłopca też.

Stasiuś wyglądał, jakby zbliżały się jego urodziny. Nie czekając, aż rodzicielka zmieni zdanie, chwycił mnie i Kamilę za rękę i wciągnął do małego pokoju naprzeciwko drzwi wejściowych.

Przez chwilę myślałem, że znalazłem się w niebie, tak osłepiający był błękit dookoła mnie. Zaraz jednak zdałem sobie sprawę, że to tylko mnogość niebieskich rysunków przyklejonych na wszystkich ścianach i suficie. Rysunki przedstawiały policjantów w mundurach; policjantów w najróżniejszych pozycjach. Był gliniarz złowieszczo błyskający kajdankami, był gliniarz trzymający za kark złodzieja... Na największym rysunku pysznił się policjant w pełnym umundurowaniu, przypinający sobie nową odznakę z gwiazdą.

– Wow – westchnąłem, zadzierając głowę. – Sam to wszystko zrobiłeś?

– No – potwierdził skromnie Stasiek i zarumienił się lekko, wpatrując się w swoje własne dzieła.

Moglibyśmy tak godzinami obserwować i komentować rysunki rozlicznych gliniarzy, ale Kamila musiała jak zwykle wszystko zepsuć. No cóż, nie jej wina, że urodziła się dziewczyną.

– Długo jeszcze? – mruknęła z irytacją. – Mamy sprawę do zbadania.

Niechętnie odwróciłem wzrok od salutującego policjanta i wyjąłem z kieszeni misia mojej siostry i kilka innych przedmiotów. Następnie otworzyłem plecak i nie bez trudu wyciągnąłem olbrzymią pięciogroszówkę.

Kamila przyniosła samochód swoich rodziców, który teraz miał rozmiar tabletu. To ogromnie rozśmieszyło Staśka, ale zaraz uciszył go widok własnego telewizora wielkości pudełka od zapalek.

– Nie ma wątpliwości, chłopcy – orzekła Kamila z mądrą miną. – Padliśmy ofiarą wyjątkowo nieudanej inwazji kosmitów.

– Dlaczego zaraz kosmici? – sprzeciwił się Stasiek. – To nie film science-fiction, Kamila, tylko życie. Ja myślę, że to zbuntowany policjant, który sprzymierzył się z jakimś gangiem.

Westchnąłem cicho i zacząłem oglądać fikuśne urządzenie stojące w kącie.

– Co to?

– Mikroskop – odparł nieuważnie Stasiek, bo właśnie toczył z Kamilą zacięty spór o prawdopodobieństwo istnienia obcych cywilizacji we wszechświecie. – Służy do powiększania bardzo małych rzeczy. Kładzie się je na tak zwanym stoliku i...

To podsunęło mi pewien pomysł. Wziąłem małego misia i położyłem go na stoliku mikroskopu. Później zerknąłem przez okular. Między czarnymi oczkami pluszaka widniał dziwny, czerwony znak. Dwie pionowe kreski, na których leżała trzecia, pozioma.

– Spójrzcie! – zawołałem. Kamila podeszła do mikroskopu, ale Stasiek ciągnął dalej:

– ...ja chcę tylko zauważyć, jak niewielka jest możliwość, iż obca cywilizacja inteligentniejsza niż człowiek wybrała na miejsce inwazji akurat Ziemię.

Kamila nie zwracała na niego uwagi. Po chwili patrzenia przez okular zmarszczyła brwi.

– Widziałam ten symbol. Pamiętam go, ale skąd? A, tak! To symbol liczby Pi, uczyłam się tego na matmie. Poza tym takie jest logo firmy, w której pracuje mój tata.

Spojrzałam na nią znacząco.

– No, co? – wybuchnęła od razu. – Chyba nie myślisz, że mój tata mógłby mieć z tym coś wspólnego?

– On nie, ale jego firma tak – powiedziałem powoli. – Co to w ogóle za firma? Czy wiesz może, kto nią dowodzi?

Kamila zastanowiła się przez chwilę.

– Firma mojego taty jest firmą farmaceutyczną – Zrobiłem niemądry wyraz twarzy, więc wyjaśniła ze zniecierpliwieniem: – Produkuje leki. Jej właścicielem jest pewien bardzo nieprzyjemny człowiek. Mało kto go widzi, zawsze jest w swoim gabinecie. Poza tym nikt nie zna jego nazwiska, mówią na niego po prostu Szeff. Ale czasami jego rozkazy są tak niedorzeczne. Raz podobno kazał przyrządzić eliksir nieśmiertelności, a gdy jakiś pracownik się z tego zaśmiał – stracił pracę.

Zapadła cisza. Nawet Stasiak przerwał swój wywód i spytał głupio:

– A o co chodzi?

Cierpliwie wyjaśniliśmy mu wszystko od początku. Na jego twarzy stopniowo odmalowały się wypieki.

– Wiecie, co to oznacza? – wykrzyknął podekscytowany. – Musimy się włamać do tej firmy!

– Zwariowałeś? – prychnęła Kamila. – Jest doskonale strzeżona.

– No, raczej – stwierdził Stasiak takim tonem, jakby to było oczywiste. – Będzie ciekawie! Kiedy idziemy?

Na nic się zdała nasza logiczna perswazja. Stasiak upierał się, że musimy to zrobić, a gdy zdecydowanie odmówiliśmy, oznajmił, że włamie się sam. Przecież nie zostawimy naszego przyjaciela na pastwę osiłków z ochrony.

Następnego dnia staliśmy przed śnieżnobiałym gmachem, nie wierząc że naprawdę to robimy. Stasiek usiłował policzyć kamery dookoła budynku, ale po chwili zniechęcił się i zaczął działać.

Byłem pod wrażeniem. Lata zabaw w gliniarza uczyniły go tak sprawnym fizycznie, że bez trudu zakleił taśmą dwustronną wszystkie cztery kamery obserwujące nas z góry. Dalsza część akcji należała do mnie i Kamili. Bez śledzących każdy nasz ruch kamer poczuliśmy się pewniej i powoli weszliśmy do budynku.

Zza białego biurka zerwał się recepcjonista.

– Co wy tu robicie? – warknął. – Dzieciom wstęp wzbroniony! Jakim cudem nie zauważyłem was przez monitoring?

Serce we mnie zamarło, ale Kamila wykazała się przytomnością umysłu.

– Bo tu pracuje nasz tata – wyjaśniła płaczącym głosem.

Nasz tata? Ile bym dał, żeby ojciec Kamili był także moim – pomyślałem mimowolnie.

– Nie rozumiem, co to ma do waszej obecności tutaj – burknął recepcjonista.

– Bo on jest teraz taki malutki, o taki, jak paluszek! Pewnie pan zauważył, tak dużo rzeczy się teraz zmniejszyło... i nasz tata też.

Recepcjonista czujnie zmarszczył brwi.

– Dlaczego sądzicie, że nasza firma ma z tym coś wspólnego? – spytał z udawanym zdziwieniem.

– Nie, nie, źle nas pan zrozumiał – zaszczebotała Kamila. – Po prostu pomyśleliśmy, że skoro to firma farmaceutyczna, to ludzie pracujący tutaj muszą być bardzo mądrzy.

Niby przypadkowe pochlebstwo mile połechtало recepcjonistę.

– I pewnie wiedzą, dlaczego wszystko tak strasznie zmienia rozmiar – dodała Kamila i wpatrzyła się w recepcjonistę jak w złotego bożka.

– Cóż, ja nie wiem – mężczyzna odchrząknął. – Ale możecie zapytać Szefa, on jest najmądrzejszy z nas wszystkich. Zaprowadzę was.

Kamila spojrzała na mnie z radosnym niedowierzaniem. Doskonale rozumiałem, o co jej chodzi. Ja też nie przypuszczałem, że pójdzie tak łatwo.

Recepcjonista przystanął przy dużych, białych drzwiach, przyłożył do nich ucho i stwierdził:

– Szef teraz prowadzi rozmowę, poczekajcie tutaj. Ja muszę wracać do pracy.

Niby przypadkiem oparłem się o drzwi i tak jak wcześniej recepcjonista, przyłożyłem do nich ucho. Po chwili doleciał mnie strzęp rozmowy:

– ...jak to nie zauważą, Szefie, jak można nie zauważyć tak drastycznych zmian...

– Zamknij się – usłyszałem wulgarny głos. – Eksperyment się powiódł. Wreszcie, po tylu latach.

– Ale tyle rzeczy się zmniejszyło! Przedmioty... zwierzęta... nawet ludzie... jeden z naszych pracowników ma teraz rozmiar myszy, Szefie!

Kamila zeszywniała, gdy nieznaną głos wymienił nazwisko jej ojca.

– Mówisz? – zakpił Szef. – To go wylejemy i tyle, po strachu.

– Ale, Szefie... tak nie można...

– Wyjdź! – warknął Szef. – Nie będziesz mi mówił, co można, a co nie można.

W samą porę odsunąłem się od drzwi, z których wypadł spocony pracownik w białym laboratoryjnym kitlu. Mamrotał coś pod nosem i ledwie zaszczycił nas spojrzeniem.

Usłyszałem, jak Kamila głośno przetyka ślinę, zanim na drżących jak galareta nogach wkroczyliśmy do gabinetu Szefa.

Siedział plecami do nas, więc nie widzieliśmy jego twarzy.

– Kto tym razem? – ryknął Szef, aż gabinet zadrżał w posadach.

– Kamila i Milan – wyjąkała Kamila. – My... my... chcielibyśmy wiedzieć, co się stało z naszym tatą.

– Dzieciaki? – wrzasnęła ponownie Szef. – Kto was tu wpuścił?

– Pan recepcjonista – odparła Kamila z doskonale pozorowanym zaskoczeniem.

– Nazwisko!

Kamila podała mu swoje nazwisko. Chociaż wciąż nie widzieliśmy twarzy Szefa, byłem pewien, że mina mu się wydłużyła.

– Ach – mruknął, wreszcie ścisząc głos. – Ach, tak. Wasz ojciec...
– On się tak strasznie zmniejszył – odezwałem się mimo strachu, który ścisnął mi gardło. Kamila krzepiąco ścisnęła mi dłoń. Spróbowałem naśladować jej płaczliwy ton, którym zaczęła rozmowę z recepcjonistą. – Jest taki malutki, malusieńki...

Szef milczał zajadle. O mało nie parsknąłem śmiechem i nie zawołałem: „I co? Nadal taki z ciebie kozak?”

Cisza przedłużała się. Kątem oka ujrzałem stojącą na parapecie fiolkę napełnioną świecącym zielonym płynem. Przedmioty dookoła niej były malutkie.

– O, a co to? – ruszyłem ku niej, po dziecięcemu rozpościerając rękę.

– Nie ruszaj! – krzyknął Szef, ale wtedy „całkiem przypadkowo” wylałem na niego całą zawartość fiolki.

Kamila klasnęła w dłonie, podczas gdy maleńki Szef miotał się po podłodze, krzycząc piskliwie.

– Ekstra! I po kłopotcie. Teraz musimy znaleźć tego więcej i zlikwidować do ostatniej kropelki.

– Czekaj! – powstrzymałem ją. Obok zielonej fiolki stała buteleczka z czerwonym płynem. Domyśliłem się, że służy do powiększania przedmiotów. Zgarnąłem obie fiolki – na wszelki wypadek także tę pustą – i ruszyliśmy na poszukiwania.

Korytarz kończył się oszklonymi drzwiami. Kamila nacisnęła klamkę i...

Naszym oczom ukazała się wielka sala pełna krzątających się pracowników. Na środku stały dwie ogromne kadzie: jedna z czerwonym płynem, druga z zielonym.

– Musimy to jakoś wylać – stwierdziłem.

– Nie wylać! Przecież tam są pracownicy, mnóstwo pracowników. Wylewając zawartość kadzi sprawimy, że zmienią rozmiar jak mój tata.

Przez chwilę milczeliśmy, zastanawiając się nad rozwiązaniem.

– Wiem! – olśniło mnie. – Najpierw wylejemy każdą ze zmniejszającym płynem i ludzie się zmniejszą, a potem z czerwonym i wrócą do normalnych rozmiarów!

– I to jest myśl!

Tylko jak się za to zabrać?

Myślałem, myślałem, aż wymyśliłem. Ruszyłem bez słowa, nie zważając na syki Kamili.

– Stój! Musimy wszystko dokładnie zaplanować.

Podszedłem do dwóch pracowników o najbardziej sympatycznych twarzach.

– Dobry – powiedziałem. – Jestem z gazety...

Pustka w głowie.

– ...z gazety „Farmaceuta”. Mam przeprowadzić z panami wywiad.

– Dawaj młody – uśmiechnął się jeden z nich.

– Co jest w tych kadziach?

Cisza.

Głupek – zwymyślałem siebie w myślach. Trzeba było zacząć od czegoś niewinnego, zamiast od razu z najgrubszej rury.

– Nie możemy powiedzieć – odparł z wyższością ten niższy. Dryblas szturchnął go pod żebra.

– Co mamy powiedzieć, młotku, jak i tak nic nie wiemy? Zupełnie nic – zwrócił się do mnie. – Jak chcesz wiedzieć więcej, zapytaj Szefa. My tu tylko wykonujemy brudną robotę.

Czy mi się wydawało, czy w jego głosie zabrzmiała nutka goryczy?

– Mogę zrobić panom zdjęcie?

Zgodzili się. Oparli się o kadź z zielonym, zmniejszającym płynem, zrobili głupie miny, a ja udałem, że szukam w plecaku aparatu.

W tym momencie zrobiłem szybki rachunek sumienia z ostatniego miesiąca. Chyba byłem dość grzeczny, pora na mały grzeszek. Przeprosiłem w myślach dwóch nieszczęśników. Raz... dwa... trzy...

Znienacka popchnąłem niższego na zieloną kadź. Zbiornik zachwiał się, ale nie runął. Wtedy popchnąłem dryblasę. Chlust. Zielonkawy płyn wylał się na oszołomionych pracowników, którzy zaczęli się zmniejszać. Teraz już nie mogli mnie powstrzymać ale nie mogli mi też pomóc. Nie miałem kogo popchnąć na kadź z czerwonym płynem. Wtedy ujrzałem stojącą w kącie metalową drabinę. Przystawiłem ją do pełnej kadzi i zacząłem się huścić.

Kadź zachybotwała się. Jeszcze trochę, jeszcze ociupinkę. Spocony i zmęczony, jak przez mgłę ujrzałem Kamilę. Wbiegła z impetem w zbiornik i ciężarem swojego ciała przewróciła go. Pracownicy powrócili do dawnych rozmiarów. Przez chwilę mrugali w osłupieniu, nie mogąc zrozumieć, co się stało. Wreszcie ktoś krzyknął – „Łapać ich!”.

Uciekaliśmy ile sił w nogach, aż wybiegliśmy z budynku, ale nie zwolniliśmy ani na chwilę. Po jakiejś minucie do biegu włączył się Stasiek. Nie musiał pytać, czy się udało. Przedmioty dookoła wracały do normalnych rozmiarów – widocznie właśnie wylanie płynu pozwoliło im powrócić do dawnego rozmiaru. W końcu dobiegliśmy do mojego domu. Znowu wszystko było normalnie. Ojciec jak zwykle pijany, ja z przyjaciółmi jak zwykle go ignoruję.

Po jakimś czasie, pewnego dnia siedziałem na łóżku i było mi bardzo smutno. Wtedy zatrzeszczała moja krótkofalówka. Błyskawicznie odebrałem, to była Kamila.

– Milan – usłyszałem w przerwach pomiędzy szumami po drugiej stronie. – Musisz koniecznie wyjść przed swój blok. Szybko!

– Co się stało? – próbowałem dociec.

– Oj, no po prostu wyjdź.

Zdziwiony, odłożyłem krótkofalówkę, założyłem podarte buty i wyszedłem. Na parking przed blokiem nie było nikogo. To znaczy na pierwszy rzut oka. Wtem zobaczyłem wysoką kobietę z krótko przystrzyżonymi, siwymi włosami. Ostatni raz widziałem ją pięć lat temu. Nie licząc zdjęcia w wyszukiwarce internetowej. Moja mama nie rozpoznała mnie. Dreptała po parkingu jak dziecko we mgle, z bezradnie rozłożonymi rękami. Musiałem do niej podejść. Gdy mnie zobaczyła, coś zamigotało w jej szaroniebieskich oczach.

– Milan? O, Boże, Milan! – przytuliła mnie niezgrabnie, głaszcząc po głowie, jakby chciała mi wynagrodzić cały ten czas. – Pięć lat! Pięć lat, synku!

Wiedziałem to lepiej od niej.

– Tak strasznie cię przepraszam – wyszeptała łzawo. – Popelniłam błąd... Masę błędów. Kocham cię, Milan.

A ja zacząłem szlochać, wtulając się w jej dżinsową kurtkę.
Chłopaki nie płaczą. Ale nie ma miłości bez łez.
– Ja też cię kocham, mammo!

Milena Bołbot (Mucia), kl. 6
Szkoła Podstawowa nr 1 w Wadowicach

Złoty jelen

Papierowy samolot poszybował w stronę kolegi, który pochwycił go szybko w trakcie lotu. Pani stała odwrócona do nas tyłem i pisała coś na tablicy. Natomiast ja miałem coś ważnego do przekazania Matiemu. Adresat listu rozłożył samolocik i przeczytał to, co było na nim napisane. Po chwili pokiwał głową i przecesał ręką czarne włosy. Wepchnął do plecaka list, udając że spadł mu długopis. Zająłem się pisaniem. Tematem dzisiejszej lekcji miała być legenda o Złotym Jeleniu. Kolejne bzdury będzie nam wciskać – pomyślałem znudzony.

Po szkole miałem spotkać się z Mateuszem. Siedziałem na ściętym pniu dębu, otoczony innymi drzewami liściastymi. Śpiew ptaków odbijał się echem po lesie. Gdzieś w dali przebiegł lis w pogoni za królikiem, warcząc i klapiąc rudą paszczą. Po chwili usłyszałem szelest, zza krzaka jeżyn wyszedł Mati.

– Cześć, Piotrek, mówiłeś, żebyś tu przyszedł po szkole – powiedział chłopak, mój najlepszy kumpel od przedszkola. Obaj mieliśmy po dwanaście lat i między nami było tylko pięć dni różnicy. To on był starszy.

– Muszę ci coś powiedzieć – rzuciłem, dając mu znak, żeby podszedł bliżej. – Gdybym napisał ci to w liście, nauczycielka mogłaby to zobaczyć – dodałem wiedząc, o co chciał zapytać Mateusz. Chłopak pokiwał głową i usiadł na kamieniu naprzeciwko pniaka. Nachyliłem się w jego stronę i powiedziałem:

- Ojciec zabiera mnie na targowisko w Molive. Wyruszamy dziś wieczorem. Wiesz, jakie historie pochodzą z tamtego miejsca? Mateusz parsknął śmiechem.
- Boisz się? To tylko głupie historyjki! A ta bzdura co gadała Ujuchowska? O Złotej Sarnie! Od kiedy sarny są złote!? I od kiedy porywają dzieci i niosą je jako ofiarę dla Wielkiego Niedźwiedzia?!
- Niektóre historie są prawdziwe, a poza tym, to nie była sarna tylko jeleni – poprawiłem go.
- Co?
- No z tej legendy. To była legenda o Złotym Jeleniu, a nie sarnie.
- westchnąłem. Mati zaliczał się do tych sprytnych i nie przepuścił okazji, by mi wytknąć:
- Czyli słuchałeś? Nie mów, że ciekawią cię bajeczki dla niegrzecznych dzieci.
- Słuchałem, bo nie miałem nic innego do roboty. Mati westchnął.
- Po co tam jedziesz?
- Ojciec stwierdził, że przydam mu się do przenoszenia tych wszystkich mięs i skór.
- Mój tata był myśliwym, mieszkaliśmy wspólnie w niewielkiej drewnianej chacie stojącej na polanie. Mama natomiast siedziała w domu i gotowała nam obiady.
- Dobra. Rozumiem. Tyle chciałeś mi powiedzieć? – zapytał Mati wstając z kamienia i otrzepując kolana z pyłków brzoź, które nasywały mu się na spodni.

Wyruszyliśmy już trzy godziny temu. Ojciec pogał lekko brązowego ogiera, na którym jechał. Ja również nieco popędziłem swojego konika, białego w czarne łaty. Za nami szły dwa juczne koniki obciążone skórą i mięsami, które znajdowały się w specjalnych tobołkach. Koników nie trzeba było uwiązywać, gdyż same posłusznie szły za nami. Były nauczane tego od żrebaka. Droga wiodła przez gęsty las. Zobaczyłem znak na uboczu.

– Tato! Zobacz, znak!

Ojciec popatrzył na niego. Był to brodaty, spokojny mężczyzna o krótkich, brązowych włosach i szarych oczach. Zerknął na mnie i powiedział:

– Zbliżamy się do Molive. Za chwilę wjedziemy do lasu iglastego, tam będzie targowisko. Znajdziemy gospodę i w niej przenocujemy. A rano zacznie się handel. Będziesz krzyczeć do ludzi, że nasze mięso jest świeże i wyborne, a skóry miękkie i giętkie – po czym wjechaliśmy pomiędzy sosny.

Pół godziny później zza drzew zaczęło się wyłaniać miasteczko. Wjechaliśmy na zwirową drogę i zwolniliśmy konie. Na ulicy nie było prawie nikogo. Wszyscy zapewne siedzieli w domach lub spali. Zakładałem, że była północ lub nawet później. Małe chatki otaczały nas z każdej strony. Były drewniane, niskie i nierówne. Skręciliśmy w lewo i zatrzymaliśmy się w gospodzie „Pod Zdechłym Szczurem”. No fantastyczna nazwa – pomyślałem. – Bardzo zachęca do odwiedzenia i spędzenia w niej nocy – dodałem w myślach, po czym zacząłem mocować mojego konika do dziwnego kijka wystającego z ziemi w stajni.

– Synu, idź, lepiej zarezerwuj nam stoisko handlowe – powiedział ojciec widząc moją udrękę z przymocowaniem liny. – Idź dalej prosto tą drogą, aż zobaczysz bardzo szeroką kamienistą drogę i tam w prawo. Na pewno zobaczysz po chwili targowiska. Nie idź tylko, proszę cię, do lasu. O tej porze możesz spotkać tam niedźwiedzia – dodał ojciec. Szedłem, aż dotarłem do kamiennej drogi, gdzie skręciłem w prawo. Po chwili zobaczyłem stoiska targowe. Na niektórych wisiały tabliczki z napisem: „Zarezerwowano”. W końcu znalazłem stoisko w dobrym miejscu. I napisałem to samo na tej tabliczce. Spojrzałem w las, który zaczynał się tuż za stoiskami. Co to za miejsce na targowisko? – pomyślałem.

Nagle między drzewami przemknął jakiś cień. Wyteżyłem wzrok i zrobiłem krok w las. Znów coś przemknęło. Wbiegłem w las w pogoni za cieniem. Nagle zatrzymałem się tknięty złym przeczuciem. Chwila – pomyślałem. – Cienie w środku nocy? W nowiu

księżycy? To nie ma sensu... Coś znowu przebiegło. Odwróciłem się za siebie, by zawrócić, ale ujrzałem tylko drzewa.

Z każdej strony drzewa. Tymczasem cień zaczął się coraz bardziej zbliżać. Teraz ujrzałem, że nie jest sam. Niemal zza każdego drzewa zaczęły wynurzać się cienie. Smukłe, gibkie postacie ludzi, które nie miały twarzy. Rzuciłem się do tyłu, mając nadzieję, że odnajdę drogę do targowiska. Cienie nie biegły za mną, były po prostu wszędzie. Za każdym drzewem, czy krzakiem. Zrozumiałem, że się zgubiłem. Nigdzie nie było widać lekkiej poświaty latarń, które wskazywałyby, że odnalazłem targowisko. Wszędzie ciemność, wszędzie cienie. Ale cienie nie mogą mi przecież nic zrobić. – zauważyłem i usiadłem, opierając głowę o szorstki pień sosny. Cienie przyglądały mi się przez chwilę z zaciekawieniem i już byłem przekonany, że sobie pójdą. Jednak te zaczęły iść do mnie powolnym, spokojnym krokiem. Nagle zobaczyłem światło. Targowisko! – pomyślałem, wstając gwałtownie i ruszając biegiem w stronę światła. Nigdzie nie mogłem dojrzeć cieni. Odwróciłem głowę, by sprawdzić, czy sobie poszły. Na granicy światła kotłowały się cienie. Wszystkie razem. Nagle jeden z nich wkroczył na teren światła. Na sekundę zobaczyłem wysokiego, młodego mężczyznę o jasnych włosach, lecz sekundę później rozpląnął się. Nie odwracając głowy, biegłem dalej przed siebie. Chwilę później odbiłem się od czegoś i upadłem na ziemię. Ujrzałem ogromnego jelenia. Jego sierść była złota, jaśniała w ciemności niczym światło. Złoty Jeleń – pomyślałem i krzyknąłem. Zacząłem uciekać najszybciej jak mogłem, jednak jeleń ledwo truchtał, a utrzymywał się na równi ze mną.

– Witaj, przybyszu – powiedział łagodnym tonem. – Skoro uciekasz, to chyba słyszałeś już o mnie. Możesz przestać biec. Nie składam nikogo w ofiarach.

– Ale skoro ty istniejesz – wysapałem, nie zwalniając biegu – to skąd mam wiedzieć, że ten Niedźwiedź też nie istnieje?

– Zaufaj mi. Gdybym był po złej stronie, dawno zostawiłbym cię tym ceniom.

Zatrzymałem się i popatrzyłem na jelenia. Jego poroże było szerokości dwóch metrów.

– Kim są te cienie? – zapytałem.

– To dusze ludzi, którzy dopuścili się gorszych rzeczy, niż kradzieże czy morderstwa – odpowiedział Żłoty Jeleń. – Kiedy ktoś zabłąka się tutaj, do tego przekłętego miejsca, od razu wychodzą ze swoich kryjówek i pędzą, by go zabrać w swoje szeregi.

– Gorszych rzeczy od morderstw? Czyli jakich? – zapytałem.

Jeleń pokręcił pyskiem, prawie uderzając mnie swoim porożem.

– Nie możesz tego wiedzieć. Bo będziesz chciał to zrobić – powiedział ze zgrozą. Może to i lepiej – pomyślałem i wzruszyłem ramionami. Nagle rozległ się odgłos rogu. Jeleń położył się na ściółce i wyszeptał:

– Wsiadaj szybko! Zabiorę cię z powrotem na targowisko.

– Co się dzieje? – zapytałem wchodząc na jego miękkie grzbiet. – Dlaczego ktoś dmie w róg?

Jeleń pogalopował przez las. Obejrzałem się w tył, obiema rękami ściskając jego poroże. Za nami sunęły cienie. Jeden jechał na koniu. W ręku trzymał łuk. Jego koń był cieniem. Nagle w oddali dostrzegłem światło.

– Targowisko... – wyszeptałem.

Usłyszałem świst strzały tuż przy swoim uchu. Czarny grot o włos nie przebił go na wylot. Pocisk wbił się w pień drzewa, by chwilę później zamienić drzewo w przemykający cień drzewa.

– Co robią te strzały? – zapytałem, choć znałem odpowiedź.

– Zamieniają żywe istoty w cienie. Ten na koniu to wódz cieni, rzadko kiedy strzela, gdyż wyprodukowanie jednej strzały zajmuje mu kilka lat. Ale nie przepuści okazji, by trochę ich zmarnować, żeby spróbować mnie zabić. Kiedy ja jestem w tym lesie, cienie nie mogą z niego wyjść. Kiedyś wyszedłem z niego, kiedy byłem mały. Wtedy niektóre cienie wyszły z lasu i nawiedziły ludzi. Ci ludzie wtedy wywoływali wojny, tworzyli wirusy i skłócali ze sobą ludzkość. Te cienie nigdy nie umrą. Zawsze będą starały się przejąć nad ludźmi kontrolę.

Kolejna strzała niemal musnęła Złotego Jelenia po kopycie. Z każdą chwilą coraz bardziej zbliżaliśmy się do targowiska. Po chwili dotarliśmy do skraju lasu, Jeleń wysadził mnie i rzekł:

– Pamiętaj, w każdej legendzie jest ziarno prawdy, choć może być ono nawet wielkości bakterii. Nie daj się złapać cieniom i ostrzeż innych przed nimi – po czym odbiegł w las dudniąc kopytami o ziemię. Wszedłem na teren targowiska. Wydawało mi się, że spędziłem w tym lesie przynajmniej ze dwie godziny. Poszedłem drogą powrotną do gospody. Ojciec na pewno mnie już szuka – pomyślałem. Gdy dotarłem pod budynek, usłyszałem znajomy głos: – No! Jesteś! Już skończyłem z końmi, mam nadzieję, że zarezerwowałeś porządne miejsce – powiedział ojciec. Odwróciłem się gwałtownie w jego stronę i uśmiechnąłem się do siebie. Widocznie w tamtym lesie inaczej płynął czas – pomyślałem.

– Myślę, że nie jest najgorsze. – stwierdziłem, po czym oboje udaliśmy się do gospody.

Od tamtego czasu za każdym razem zwracałem ludziom uwagę, kiedy źle postępowali. Opowiadałem o Złotym Jeleniu. O mrocznym lesie, do którego zabiera się złe dusze. Jedna historia dla człowieka, nowa nadzieja dla ludzkości.

**Wanessa Synowiec (Bursztynek), kl. 5
Zespół Szkolno-Przedszkolny w Przyrowie**

Jasielskie Boże Narodzenie z przytupem

To ja, Wanessa, jedenastoletnia dziewczynka z długimi, krzywo podciętymi włosami. Każdy pyta, dlaczego są takie nierówne, a ja odpowiadam, żeby zapytać o to moją bardzo oszczędną mamę, która obcina mnie sama. Co roku z niecierpliwością czekam na święta Bożego Narodzenia, bo zazwyczaj spędzamy je u dziadków w Jaśle. Uwielbiam w Wigilię jeść świeżo upieczonego pstrąga, którego mój rozrzutny tata kupuje w pobliskiej hodowli ryb. Ubie-

ramy w ten dzień przyniesioną przez dziadka choinkę oraz lepimy dużego bałwana, jeżeli jest śnieg.

W tym roku, dwa tygodnie przed świętami, byłam chora. Siedziałam w domu i bardzo się nudziłam. Postanowiłam więc uszyć świąteczne ubranko dla mojego psa Cziki. Pomyślałam, że jeśli my będziemy u dziadków pięknie wystrojeni, to dłaczego pies ma nie być elegancko ubrany? W szafie, w papierowej torbie, znalazłam jakieś ubrania: czerwony sweter, spodnie z mieniącego się materiału, skarpetki i coś tam jeszcze. Ciach, ciach nożyczkami i powstał strój dla mojego pieska. Resztki schowałam do torby.

Nadszedł ten oczekiwany przeze mnie dzień - Wigilia. Byłam taka głodna! Babcia po coś poszła do sąsiadki, a mamusia ciągle mówiła, aby nie jeść, bo jest post! Tata był bardziej wyrozumiały i schował kiełbaski do kieszeni starej kurtki, która wisiała w garażu. Zawołał mnie i Czikę, żebyśmy razem tam poszli i zjedli ten smaczkowy posiłek. Kiedy tatuś wsadził rękę do kieszeni, coś go ugryzło w palec i skoczyło na podłogę. Czika ruszyła ratować nasz łup, ale niestety nie dogoniła myszki, złodziejki naszego śniadania i chyba również obiadu. Wróciliśmy głodni i zmartwieni. Czekając na kolację, kończyliśmy ubierać choinkę.

Mój chiński zegarek z targu w Jaśle wskazywał godzinę 15.30. Jest podróbką, zresztą jak prawie cała, moja i rodziców, garderoba. Nawet pies je z chińskiej miski, dlatego też chyba szczeka jakoś dziwnie, jakby popiskiwał. Zawołałam Czikę do swojego pokoju, żeby ubrać ją w uszyty przeze mnie strój. Wyglądała w nim jak milion psich dolarów. Później ja włożyłam odświętne ubranie, które już w zeszłym roku było na mnie za małe, ale wcisnęłam się jakoś w nie, bo innego wyjścia przecież nie miałam. Moja mama czekała na przeceny, a potem czasu zabrakło na zakupy. Rodzice przygotowywali się w drugim pokoju. Tata chyba włożył dziurawe skarpetki, bo słyszałam jak na jakieś słowa mamy odpowiedział, że przecież nikt mu butów zdejmował nie będzie. A mama miała podobno nową bluzkę i spodnie.

– Wanessa!!! Usłyszałam wrzask mamy i zdębiałam.

– Gdzie moje nowe ubranie?! – krzyknęła.

Wtem z mojego pokoju wyszła lady Czika w pięknej, czerwonej pelerynie, w niebiesko-białej czapce i czarnych bucikach z białym puszkiem.

– Coś ty zrobiła z moimi nowymi, świątecznymi ubraniami!? Wannessko!

– Przemysław, czy ty to widzisz? – zapytała tatę, a on nagle zaczął się głośno śmiać i klaskać w dłonie.

– Chciałaś nas zagłodzić, to teraz masz! – odrzekł ubawiony widokiem Cziki.

Mama zmuszona była założyć stary sweter i znoszone spodnie, w których przyjechała. Tylko nasz pies był elegancko wystrojony. O godzinie szesnastej babcia zaprosiła nas na wieczerzę. Wreszcie! Po kolacji, najedzeni i wypoczęci, chcieliśmy pojechać do kościoła na pasterkę. Zjawił się mój kuzyn Jasiek. Pamiętam, jak kiedyś z innymi kuzynami, robiliśmy Jaśkowi na złość. Przez Jaśło przepływa rzeka Jasiołka. Na widok kuzyna wołałam zawsze: „Hej! Słyszycie? Jasio łka!”, a inni dodawali: „Nie buc Jasiek! Nie buc!”. Złościł się na nas wtedy bardzo, gonił nas, a my chowaliśmy się przed nim na strychu w domu dziadków.

Wyszliśmy na dwór, bo było już późno. Tata wsiadł do samochodu, żeby go uruchomić. Nagle auto zaczęło stękać, huczeć, buczeć, a spod niego wydobywały się czarne chmury oparów. Nie chciało odpalić. Jednak po dłuższej chwili udało się. Jak na dwudziesto-pięcioletniego starsuszka opel sprawuje się, według mamy, bardzo dobrze. Wszyscy wsiedliśmy do naszego wehikułu, jak nazywa go tata, i ruszyliśmy w podróż. Do kościoła mieliśmy dwadzieścia minut, lecz gdzieś w połowie drogi samochód zaczął dziwnie podskakiwać, hamować, furczeć i kaszleć, aż nagle zakopcił się cały i zatrzymał na środku ulicy. Zdenerwowany tata wybiegł, żeby obejrzeć, co się stało. Kiedy otworzył pokrywę silnika, buchnęła na niego z całym impetem chmura dymu. Mój tatuś wyglądał niczym kominiarz po pracy. Chwilę później wyłoniła się z pojazdu mamusia.

– Co się stało? – zapytała rozzłoszczonego tatę.

– A nic, zupełnie nic, kochanie – odpowiedział dziwnie spokojnym głosem.

Do kościoła jechało wtedy dużo samochodów. Mijały nas, trąbiono, lecz nikt się nie zatrzymał. Jasiek zaproponował, żeby może popchać, będzie szybciej. Dopiero pan Antoni, jadący swoim trzydziestoletnim fiatem, postanowił nam pomóc. Zaczepił linkę i zaczął nas holować. Jednak nasze auto było dużo cięższe i linka pękła, a metalowa końcówka rozbiła nam szybę i była powodem ogromnego guza na czole mamy, która zajmowała przednie siedzenie.

– Przecież nie pójdziemy w takim stanie do kościoła! – wykrzyknął tata.

Razem z mamą odholowali „wehikuł” do domu, a ja z Jaśkiem i pieskiem poszliśmy na pasterkę. W kościele nie było już miejsc siedzących, dlatego schowałam Czikę pod kurtkę i stanęłam za ławkami, żeby ksiądz nas nie wyprosił. Bałam się również, by moja najlepsza przyjaciółka nie zaczęła szczekać, widząc tyłu ludzi. Gdzieś w tłumie dostrzegłam babcię Lidię, zrobiła nam miejsce obok siebie. Kiedy organista zaczął grać, moje obawy okazały się słuszne. Czika wyślizgnęła się spod kurtki i zaczęła biec w stronę ołtarza. Zrobiło się nie lada zamieszanie.

– Czyj to pies? – pytali wszyscy dookoła.

Nie wiedziałam, co mam robić, czy gonić Czikę, czy uciekać z kościoła. Zrobiło mi się bardzo gorąco. Chyba zagotowałam się ze wstydu. Mój pies zatrzymał się nagle pod ogromną choinką i zahaczył o nią smyczą. Błagalnie spojrzałam na Jaśka. On jednak się do nas nie przyznawał, więc sama podbiegłam do ołtarza, żeby dorwać Czikę. Już ją prawie trzymałam za czerwoną pelerynę, lecz w tym momencie ona znowu ruszyła przed siebie, przewracając ogromne, pięknie ubrane drzewko i mnie przy okazji. Takiego pisku, krzyku i śmiechu w jednej chwili nigdy nie słyszałam. Złapałam w końcu Czikę i wybiegłyśmy z kościoła.

– Ale wstyd, straszny wstyd, piesku. A do Jaśka już się nigdy nie odezwiemy, prawda? Zdrajca! Będzie łkał do końca życia! – powiedziałam do mojej ulubienicy.

Jednak ona wcale się nie zmartwiła, patrzyła na mnie tymi swoimi dużymi, czarnymi ślepiami z równocześnie wywalonym językiem. Po chwili na dworze zjawił się pan Antoni, który powiedział, że odwiezie nas do domu.

Po powrocie, chyba pod wpływem wrażeń, zjadłam pyszne kanapki z szynką i chrzanem, po czym po ciemku, czyli „na omaty”, jak mówiła babcia, wskoczyłam do łóżka. Gdyby nie moja oszczędna mama i pomysłowy tata, a także mój przebojowy pies, nasze święta byłyby nudne. U nas co roku są one pełne nieoczekiwanych zdarzeń i hmm... różnych skeczy. Wyjrzałam przez okno. Nad Jasłem unosiła się zimowa mgła. Miasto wyglądało tajemniczo i pięknie, kocham tu przyjeżdżać.

Pola Jonko-Małecka (Cissa), kl. 6
Szkoła Podstawowa nr 2 w Siechnicach

Zabawa w znikanie

– Już idę – krzyknęłam biegnąc w stronę rudej głowy całej w lokach. Moja przyjaciółka zaprosiła mnie na przyjęcie Halloweenowe. Znowu się spóźniłam, jak zwykle... Wskoczyłam po dwa schodki i już na miejscu. Na podłodze leżał kot, który podniósł się ociężale, kiedy weszłam i odszedł w sobie wiadomym kierunku, jak to koty mają w zwyczaju. Oriana pociągnęła mnie w głąb domu. Był udekorowany specjalnie na przyjęcie. Z sufitu zwisały sztuczne nietoperze, z głośnika dobiegły odgłosy, jakie według ludzi wydają duchy. Światła były pogaszone, chyba żeby wywołać atmosferę grozy. Usiadłyśmy na kanapie ledwo widocznej w świetle telewizora. Było jeszcze kilka innych osób. W sumie osiem: pięć dziewczyn i trójka chłopców. Mieliśmy już zacząć oglądać film, kiedy Oriana przybiegła z kuchni, gdzie miała zrobić popcorn.

– Widzieliście Rozalię ? – zapytała jakby nieco zaniepokojona.

– Rodzice też gdzieś wybyli. Zamknęli drzwi od zewnątrz, a otworzyć je można tylko kluczem, którego nie mam – dodała.

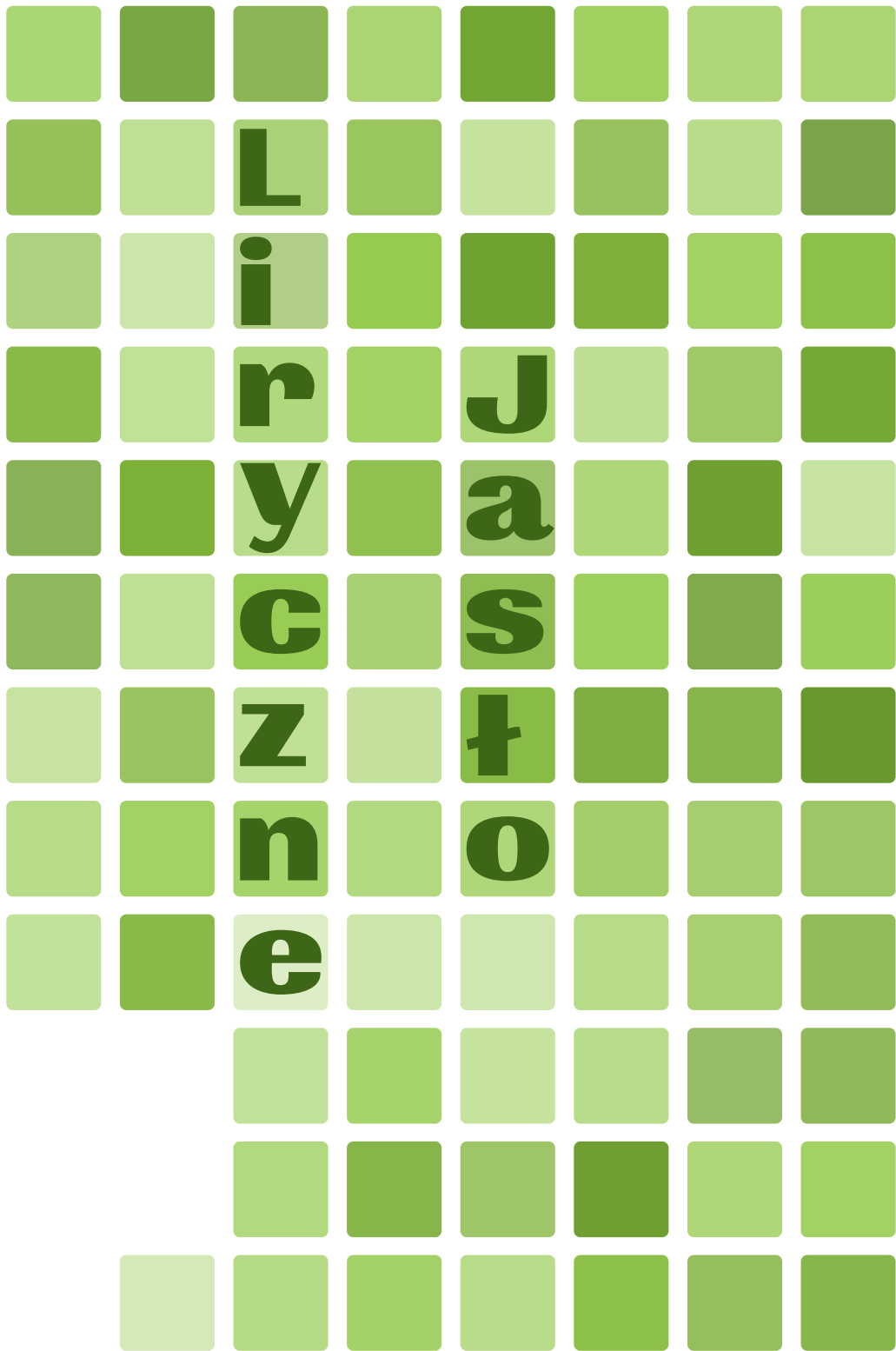
– Naprawdę? – wzdrygnęła się Alicja – Czyli tu utknęliśmy, prawda?

Oglądnałam się za siebie, słysząc jakiś szelest dochodzący z całkowicie ciemnego korytarza, gdzie nie dochodziło światło telewizora i gdzie nie powinno było być nikogo.

– Słyszeliście? – zapytałam obco piskliwym głosem. Wszyscy umilkli wpatrując się w korytarz.

– A może zapalimy światło? – wybąkała Alicja wtulając się w koc.

– Ja pójdę – zaoferował się mężnie Marcin. Ale kiedy zniknął w mroku, już z niego nie wyszedł. Głośnik przestał grać, za to zaczęliśmy słyszeć wyraźnie świst wiatru, zupełnie jakby ktoś otworzył gdzieś okno. Oriana skuliła się na kanapie i nakryła kocem aż po głowę. Za jej przykładem poszłam ja i Alicja. Wszystkie trzy przykryłyśmy się nim całkowicie. Zamknęłam oczy i trzęsąc się ze strachu myślałam, co się teraz stanie. Na zewnątrz było słychać jęk któregoś z chłopców, a potem zduszony krzyk Diany, jedynej dziewczyny oprócz nas, która nie zniknęła. Poczułam, że koc opada. Nie otwierając oczu wysunęłam rękę, aby dotknąć którejś z koleżanek, ale ich tam nie było.



Kategoria II

Szkoły podstawowe klasy 7-8

Wiersze

1 miejsce

55 Dobrochna Kołoczek: *Problem*

2 miejsce

59 Adam Cieślak: *Człowiek obrasta w rzeczy jak w tłuszcz*

3 miejsce

60 Maria Błaszkwicz: *Wiosna*

Wyróżnienia

60 Natalia Królikowska: *Dzień z życia lenia*

61 Grzegorz Sobkiewicz: *Poeta*

62 Bianka Biliczak: *C-19*

63 Daria Maria Myszka: *Ona*

Opowiadania

1 miejsce

63 Julia Ueda: *Niebieskie słuchawki*

66 Agata Przygodzka: *Łabędzie nie płaczą*

2 miejsce

72 Amelia Cichoń: *Toń Łaby*

3 miejsce

85 Zofia Marczak: *Alfred Norkowski i Super Suszarka czyli odkrycie psa z nory*

Wyróżnienia

86 Aleksandra Kocot: *Wszystkie oblicza wolności*

91 Katarzyna Karaś: *Nie daj się zabić*

97 Marianna Sprenger: *Słoń w spódniczce*

Dobrochna Kołoczek (Gabrysia_06), kl. 6
Szkoła Podstawowa z Oddziałami
Integracyjnymi nr 12 w Krakowie

Problem Wiersz (nie) dla dzieci

Zbudzi się bajka, gdy zapali
w burym się niebie szare jutro
Czy bajka skończy się już teraz?
I czy się musi kończyć smutno?

Dzieci się jeszcze śmieją Ale
nie rozumieją, że czas śmiechu
minął Więc się nadzieją bawią
dla nich podobną do oddechu

Bajka się kończy w wylężnione
rano (a może to już wieczór,
może ostatni?). Bajka jeszcze
skrzy się brokatem dobrych przecuć.

Czy dla reklamy? Dla głupoty?
Dzieci stanęły, zasłuchane.
Po jutrze zawsze jest pojutrze.
Bajka rozwiewa się. To taniec?

bez wyjścia (nie można się przewietrzyć)... Pełnia mnie

Pełno mnie
moich kroków
w całym pokoju
gdy chodzę
na stole
ogryzek lampa zepsuta
rozładowany telefon dzwoni
mi w uszach
nie napiszesz do mnie
esemesa
marnuję czas
siedzę
ględzę
urzeczywistniam
treść tych czasowników
nie liryków
kosz na śmieci pod stołem
twoje źle wykadrowane zdjęcie
z pryszczem na nosie
nuda
marnuję czas

dokucza nam bardzo po ludzku Co mnie wzrusza

Nie pożary nie pustki po ogniu dziury
pełne lamentu mężczyzn kobiet dzieci
wszystkiego co żyje i co umiera

lecz bajki opowiadane przy ognisku
pozostałym z foteli i stołu
przy którym zostało tyle kawałków
pamięci wyławianych teraz z ziemi

zabawki które kiedyś
były czerwone i żółte i niebieskie
poblakły ale wciąż są fajne
ostatnie słowo się nie zwija

w mowę wiążaną zmienia się nawet
nie w znak interpunkcyjny ale w łąkę.

pierwsze gotowanie ziemniaków.

A ja po swojemu (czy też po ludzku)... Wyścig

Obowiązek balansowania na linii z której
próbują nie spaść *ludzie normalni*
w śmieszność –
nie jest moim obowiązkiem

poruszam się pod liną
czasem próbuję się podciągnąć
wtedy na twarzy
nie ma zwycięskich kropli potu
wdrapałeś się jesteś na jasnej ulicy
wysiłek był spory ale było warto
teraz tylko utrzymać tempo

Są szare łązy
do chwili gdy zobaczę
Nie muszę trzymać się liny
centymetr do centymetra
mogę przemieszczać się pod nią
we własnej kategorii
Szybciej
od samej siebie.

Patrzę w niebo Wakacje

Znów przycichają alarmy Nie dzwoni
nikt na trwogę która jest daleko
jesteśmy na pewno w cieniu jakichś zdarzeń
lecz widzę tylko cień drzew

Nie jest straszny koniec Jeszcze
za granicą wzroku i wyobraźni
Jutro się przebija do wiadomości
Tutaj jest zbyt zielono by zrozumieć lęk

Wczoraj przycichło Szpitale pełne
łapania oddechu przykrył spokój
Między troską a trwogą są domy i lasy
Są drzewa i ptaki i jesteśmy my

Niebo było spokojne wczoraj i jest dzisiaj
jednostajnie błękitnieje
zachody słońca są czerwone jak pożar
Rano dzień rodzi się różowy
Patrzę w niebo i widzę pojutrze.

Adam Cieślak (Jan), kl. 8
Szkoła Podstawowa nr 1 w Lublinie

Człowiek obrasta w rzeczy jak w tłuszcz

Zbieramy
papierki podczas pokazów
ulotki z informacjami
nikomu niepotrzebnymi

Długopisy
kubeczki
ubrania
buty

Lakiery do paznokci
zakrzepłe z nudów czekania
półżywe pudry
książki autorów niemających nic do powiedzenia

Może się przyda
Nie przyda się nigdy
Przygniecie
przysypie

Maria Błaszkwicz (Marynia), kl. 8
Niepubliczna Szkoła Podstawowa
LOKOMOTYWA w Sopocie

Wiosna **wg Sandro Botticelli'ego**

Przestań zrywać pomarańcze
W ciemnym przyszłych zdarzeń lesie
Proszę, powiedz mi posłańcze
Co też dobry los przyniesie

Czy mi piękno jest pisane
I miłością czas natchniony?
Czy nie wskoczą na polanę
Mego życia złe demony?

Albo nie mów, bo tymczasem
Gdy flirtując z dziewczętami
Stałeś sobie tam pod lasem
To, co przyszłe – już za nami.

Natalia Królikowska (Natka), kl. 8
Szkoła Podstawowa nr 2 w Trzebiatowie

Dzień z życia lenia

Ledwo rano się obudzi,
już zmęczony, już marudzi.
Czesać włosy? – nie wypada,
gimnastyka – też odpada.
– Zjesz kanapkę? – pyta mama.
Nie chce mi się. Zjedz ją sama.
Tata woła: „Czas do szkoły”!

– Nie mam czasu na pierdoły!
Po co? Czemu? Czy on musi?
On się w swojej szkole dusi.
Polski, matma czy fizyka,
to go przecież aż zatyka.
Tyle godzin książki czytać.
– To nie dla mnie! Muszę zmykać.
A po szkole, gdy już w domu,
w swym pokoju po kryjomu
wcina chipsy na kanapie,
taka myśl go w głowę drapie :
Piłka, rower czy pływanie?
– Ja zalegam na tapczanie.
Spacer z psem? Wyrzucę śmieci?
– To nie dla mnie. To dla dzieci!
Zrobię coś pożytecznego?
– E tam. Nie. Niby dlaczego?
Tak mijają dni, tygodnie,
lecz on wciąż żyje wygodnie.
I nawyków swych nie zmienia,
Pielęgnując życie lenia.

**Grzegorz Sobkiewicz (Grechut), kl. 7
Publiczna Szkoła Podstawowa nr 12
w Stalowej Woli**

Poeta

pisanie wierszy jest dryfowaniem
po oceanie słów
zławić to właściwe
bywa sprawą trudną
znaleźć to potrzebne
często rzeczą niemożliwą

i jeszcze potrzebna mi wena
a cóż to takiego
czy to chęć przekazania
czegoś bardzo ważnego
a może czegoś wyjątkowego
ubranego w słowa całkiem zwykłego
czy to potrzeba wyrażenia
czegoś co mnie zasmuca
a może to czas by odnaleźć siebie
w szarej codzienności
złapać myśl niewypowiedzianą
i przelać ją na papier
coś co wypełźnie ze środka mnie
i tak zwyczajnie zachwyci świat

Bianka Biliczak (Bisobi), kl. 8
Publiczna Szkoła Podstawowa nr 24 w Opolu

C-19

Wieloryby umierają całymi dniami
Ugodzone harpunem
Łapczywie chcą oddychać
Ścigają się ze śmiercią
Schodzą w głębinę z nadzieją
I z nadzieją się z niej wynurzają
Później, już bez nadziei, leżą na powierzchni
Chcą żyć, ale tylko czekają
Czekają, aż życie z nich ujdzie.
Poznajesz?

Daria Maria Myszka (Mouse), kl. 8
Zespół Placówek Oświatowych nr 3
Szkoła Podstawowa nr 3
z Oddziałami Integracyjnymi i Sportowymi
w Międzyrzecu Podlaskim

Ona

Zamknęłam się w swoim małym pokoju
Nie dosięga mnie tu zgiełk codziennego świata
Czekam
Po chwili czuję, że zbliża się.
Tylko tutaj mogę ją poczuć
Zobaczyć jak
ucisza jesienne liście, którymi szeleści wiatr
zagłusza radosny śpiew ptaków wołających do mnie zza okna
W końcu wdziera się w moją głowę
I mocuje się z moimi myślami.
Oto ona.
Siostra samotności.
Cisza.

Julia Ueda (Edi), kl. 8
Szkoła Podstawowa nr 9 STO w Warszawie

Niebieskie słuchawki

Hałaśliwe szczekanie psa, jazgotliwe brzęczenie budzika mojej siostry, poranna gonitwa z czasem... Tak właśnie rozpoczyna się kolejny dzień mojej raczej nudnej egzystencji. Obudzona kakofonią kłótni, niechętnie zwlekam się z łóżka i rozpoczynam moją codzienną rutynę. Nie jest ona zbyt skomplikowana, składa się z porannej toalety i założenia niebieskich słuchawek na uszy. Słuchawek, bez których nie umiałabym przeżyć jednego dnia. Muzyka mnie otula, uspokaja i pomaga nie zwariować w tym szalo-

nym świecie, świecie pełnym materialistów, cyników i egoistów, ludzi zorientowanych tylko na sukces, często idących po trupach do celu. Ja do tej grupy nie należę. Jestem marzycielką, która choć często buja w obłokach, jednocześnie twardo stąpa po ziemi. Nie patrzę na świat przez różowe okulary, widzę co mnie otacza i dlatego wolę iść przez życie ze słuchawkami na uszach, otoczona harmonią dźwięków. Właśnie tak melodyjnie przeżywam każdy kolejny dzień.

Tak jest i dziś. Idę do szkoły, zatopiona w świecie muzyki, wchodzę pospiesznie do klasy, próbując być niezauważoną i siadam w ostatniej ławce. Podgłásniam muzykę, marząc, by zniknąć z tego miejsca. Moi koledzy i koleżanki z klasy ignorują mnie kompletnie, dziś, wczoraj, zawsze. Nigdy do nich nie pasowałam. Kiedyś próbowałam dostosować się, zmienić swój styl ubierania, swoje upodobania, ale nie stać mnie było na markowe ciuchy, nie lubię hałaśliwych imprez i nudzi mnie włóczenie się po galeriach handlowych, więc przestałam zabiegać o ich akceptację. Zamknęłam się w moim małym świecie, wypełnionym muzyką.

W szkole jednak muszę skupić się na nauce, więc niechętnie zdejmuję słuchawki i z bólem serca wkładam je do torby. Próbuję skoncentrować się na lekcji, z niecierpliwością wyczekując ostatniego dzwonka, oznajmającego koniec szkolnego dnia.

Wybiegam z klasy, jednocześnie grzebiąc w plecaku w poszukiwaniu słuchawek... Już mam je nałożyć, gdy dochodzą do mnie jakieś dźwięki z oddali. Śpiew ptaków? Nie... To skrzypce! Słyszając dźwięk instrumentu, jak zahipnotyzowana idę w kierunku, z którego dobiega. Coraz głośniejsze... Teraz wyraźnie słyszę fortepian, altówki, klarnet, wiolonczelę, kontrabas... Przyspieszam kroku i nagle widzę w pobliskim parku całą orkiestrę symfoniczną. Nie dowierzam własnym oczom. Czy to sen? Moje myśli przerywa przepiękne solo skrzypiec. Zamykam oczy i czuję jak przenoszę się w magiczną krainę. Błądę w koronach drzew, których szum delikatnie mnie otula... Śpiew ptaków miesza się z dźwiękami kwartetu smyczkowego. Pomędzy drzewami widzę polanę, na środku której srebrzy się w promieniach słońca tafla stawu, oto-

czonego liliami. Muzyka tak rozbudza moje zmysły, że czuję silny zapach kwiatów. Delikatnie zanurzam stopy w wodzie, dźwięki muskają moją twarz i przyjemne ciepło rozchodzi się po moim ciele. Całkowicie poddaję się obezwładniającemu uczuciu rozkoszy. Nagle słyszę brzące złowieszczo, mocne akordy instrumentów klawiszowych... Słońce chowa się za chmurami i dobiega do mnie dźwięk silny jak grzmot błyskawicy... Budzi we mnie grozę. Flety uprzedzają o zimnym deszczu i za chwilę czuję na skórze mokre strugi wody, lejące się z nieba. Skrzypce grają coraz szybciej, dołącza do nich saksofon, a z każdym dźwiękiem wydobywającym się z niego, nasila się wiatr. Słyszę przyspieszenie klarnetu i altówek, harfa próbuje wciągnąć mnie w muzyczne podziemia. Wokół rozpętuje się huragan dźwięków, a każdy z nich niczym grad uderza o moją skórę. Czuję to całą sobą, muzyka wypełnia mnie całkowicie, aż sama staję się dźwiękiem i teraz unoszę na wietrze, niczym liść, opadający z pięknej brzozy. Wiruję, wykonując w powietrzu szalone akrobacje, spadam, spadam...

I nagle wszystko się urywa. Cisza... Nie ma drzew dookoła mnie, ani stawu otoczonego kwiatami. Nie ma ptaków, ani deszczu. Jestem sama z ciszą i pustką w sercu. Z pustką, której nie mogę wypełnić muzyką, bo ona się skończyła. Czuję ból, który zaczyna narastać i dociera do mojego gardła, dusząc mnie. Połykam łzy. Otwieram oczy i z rozpaczą patrzę na muzyków... Grajcie, nie zatrzymujcie się, nie zabierajcie mi muzyki, ale oni kłaniają się z uśmiechem, nie zwracając uwagi na nieme błaganie w moich oczach. Szybko opuszczam tłum ludzi bijących brawo i pospiesznie idę w kierunku domu. Ból, który ściska moje serce narasta... Cisza rozsadza mi głowę. Wyszarpuję z torby niebieskie słuchawki i niecierpliwym ruchem zakładam je na uszy. I słyszę dźwięki... Rytm mojego serca uspokaja się, ból powoli ustępuje, już jest dobrze, jestem bezpieczna. Zanurzam się w mojej krainie szczęścia i z muzyką w sobie idę dalej...

Agata Przygodzka (Levram), kl. 7
Szkoła Podstawowa nr 9 STO w Warszawie

Łabędzie nie płaczą

Miarowy stukot baletek o podłogę. Dwadzieścia dziewcząt tańczy bez słowa. W pewnym momencie muzyka cichnie, a tancerki stają w bezruchu, wpatrując się w lustro przed sobą, jakby ich odbicia miały im dotrzymać towarzystwa. Żadna nie skrzywi się z bólu, ani nie pozwoli chociaż jednej łzie wypłynąć spod powieki. Mięśnie palą przy nawet najdrobniejszym ruchu, każdy krok to nowe pęcherze na stopach. Tu nie wolno pokazywać emocji. Za nie zostaniesz ukarany. Muzyka znowu zaczyna płynąć. Dziewczyny tańczą układ do Jeziora Łabędziego. Każda z nich byłaby w stanie zatańczyć go we śnie, bez muzyki. Pośród identycznie upiętych czarnych, brązowych lub blond włosów, wyróżniają się jedne – rude włosy Yeleny. Opadają jej na ramiona. Wszystkie tancerki upadają po kolei z wycieńczenia, ale nie ona. Tańczy, dopóki nie pozwolą jej przestać. Ona jest najlepsza. Reszta jest z kruchej porcelany, a ona z marmuru.

– Jutro tańczycie od nowa. Rozejść się – usłyszała kobiecy głos za sobą. – Nie ty, Yelena. Ty idziesz ze mną.

Nienawidziła tej kobiety, nikt nie znał jej imienia, wszyscy wiedzieli tylko, że ona tu kontroluje życie i śmierć. Ona kontroluje Krwawą Salę. Madame B – bo tak kazała na siebie mówić, chwyciła nadgarstek dziewczyny i pociągnęła ją za sobą.

Szły korytarzem. Był zimny, choć to w sumie nie dziwne, biorąc pod uwagę, że były w środku Syberii, a ogrzewania nie włączano od dawna – przynajmniej w części przeznaczony dla baletnic. Doszły do gabinetu. W środku było zdecydowanie cieplej niż na korytarzu.

– Wiesz, czemu cię wzięłam? – zapytała Madame B.

W pokoju słychać było tylko ciszę. Po trzydziestu sekundach milczenia można było usłyszeć dźwięk uderzenia dłonią w twarz.

– Jak się ciebie pytam, to masz mi odpowiedzieć – syknęła kobieta.

– Nie, nie wiem, proszę pani – odpowiedziała Yelena, jakby nie była wcale spoliczkowana kilka sekund wcześniej.

– Jesteś tu, bo jesteś wyjątkowa. One – powiedziała, gestykulując w stronę drzwi – są z porcelany. Ty jesteś z marmuru. Nie zawieźdź mnie jutro – powiedziała Madame B.

Yelena leży w łóżku. Metal kajdanek na nadgarstku koi nadwyrężony staw. Zaraz będzie musiała znowu wstać, znowu iść na trening, uszkodzić jeszcze więcej części organizmu.

Następnego dnia było jednak inaczej – po dwóch godzinach baletu zostały zabrane gdzieś indziej. Gdzieś, gdzie nigdy nie były. Weszły do pomieszczenia. Była tam tylko jedna rzecz – zakrwawiona mata na podłodze. Śmierć nie była im obca, ale wciąż nie czuły się z nią komfortowo. A może w tym pomieszczeniu nikt nie umarł? Może krew jest tylko pozostałością po złamanym nosach? Dopiero po chwili zauważyły sylwetkę w kącie pokoju – mężczyzna z metalową ręką i pistoletem w dłoni. Wyglądał jak posąg, dopóki na skinienie ręki Madame B nie podszedł do dziewcząt.

– Od dziś nie jesteście tylko baletnicami. Od dziś będziecie walczyć o tytuł Czarnego Łabędzia – powiedziała kobieta głosem wypełnionym trucizną. – Po usłyszeniu tego imienia będzie drzeć cała Rosja... cały świat – w jej głosie wybrzmiewała duma. – To jest Zapomniany Żołnierz. Będzie z wami trenował okazjonalnie – zakończyła swoją przemowę, wskazując na nieznanego.

Wszystkie tancerki stanęły w szeregu, zbyt przerażone, by się ruszyć. Tylko jedna sylwetka emanowała spokojem – Yelena stała bez ruchu, nie okazując nawet cienia niepokoju.

– Anastazja. Zaatakuj – poleciła kobieta.

Z szeregu wystąpiła drobna blondynka. Wyglądała bardzo bezbronne w porównaniu z mechaniczną ręką i mięśniami Zapomnianego Żołnierza. Podeszła, próbowała uderzyć. Każdy cios był blokowany, zanim zdążyła go zadać. Po kolei każda z dziewcząt próbowała swojego szczęścia, ale nikt nie przedarł się przez blokady. W końcu nadeszła kolej Yeleny. Dziewczyna myślała nad tym, co zrobi, gdy to ona będzie musiała stawić czoła napastniko-

wi. Przekuła balet – sekwencję ruchów tak dobrze jej znaną w ciocy. Ku zdziwieniu wszystkich uderzyła Żołnierza kilka razy.

– Brawo – to było jedyne, co usłyszała. Przepełniony jadem głos. Treningi się powtarzały. Yelena była zawsze najlepsza. Nigdy nie zawiodła. Ani razu nie musiała za karę spędzić nocy przykuta do umywalki w łazience. Yelena w końcu była wyjątkowa. Lubiła to. Wreszcie przestać być częścią jednej szarej masy, w której żadna z nich nic nie znaczy.

Yelena przestała chodzić ze wszystkimi na treningi. Miała swój indywidualny program. Podczas lekcji Żołnierz nie tylko pokazywał techniki walki, ale również manipulacji ludźmi, uczył ją języków i posługiwania się bronią. Katował ją na treningach, nie odzywając się słowem, wymyślając mordercze ćwiczenia. Dziewczyna co drugą noc spędzała na podłodze łazienki. A inne tancerki – łabędzice o nieokreślonym kolorze patrzyły z niedowierzaniem, że ONA zawiodła, a przecież ONA jest najlepsza z nich wszystkich.

Dokładne odręczne pismo na kartce papieru. Yelena przepisywała niemieckie zdania uczące o gramatyce tego języka. W pewnym momencie Żołnierz wskazał palcem na błąd w zdaniu i nie mówiąc słowa zaczął wpatrywać się w syberyjski krajobraz, za małym, brudnym, okratowanym oknem. Nagle wpadła na pomysł. Nie ma dużo czasu. Już słyszy buty strażników na korytarzu. Pisze na kartce jedno dodatkowe zdanie w języku niemieckim: Jak ci na imię?

Tej nocy on znów ich pilnował. Gdy przechodził koło niej, niby przypadkiem upuścił karteczkę. Było na niej jej zdanie z dopiskiem: Wayne. Spojrzała na niego. Miała się go bać, miała go nienawidzić. Zamiast tego widziała w nim swoje odbicie. Może on też jest wytworem Krwawej Sali? Usłyszała skrzypnięcie metalowych łąsek ręki. Ona odpowiedziała stukotem kajdanek. To był początek ich pierwszej nocnej rozmowy bez słów.

Dzisiaj był kolejny trening z bronią palną. Ona podeszła do Żołnierza. Odgarnęła mu włosy z twarzy i powiedziała jedno słowo: Wayne. On zaczął wewnątrz panikować. Po raz pierwszy od dawna ktoś użył jego imienia. Nie numeru eksperymentu, którym

był, nie imieniem, które miało budzić strach. To imię, którego użyła, wzbudziło w nim panikę. Nikt go nigdy nie wyszkolił, ani nie zaprogramował na taką sytuację. Ona odwróciła się i posłała trzy kule idealnie w środek tarczy.

Nadszedł dzień próby. Yelena stała otoczona towarzyszkami niedoli. Dostała pistolet do ręki. Przed sobą miała żywego człowieka z lnianym workiem na głowie. Był wychudzony, kręcił się, wiedząc, co go czeka. Yelena wycelowała. Nie jest w stanie tego zrobić. Obcowała ze śmiercią ale nigdy nie zadała śmiertelnego ciosu. To jest jak na treningach. Wyobraziła sobie, że zamiast człowieka jest tam tarcza. Zamknęła oczy. Nacisnęła spust. Huk. Boi się otworzyć oczy, ale i tak to robi. Krew. Wszędzie krew. Ciało się nie rusza. Yelena czuje, że ją mdli. Nie może teraz na to pozwolić. W tle słyszy powolne oklaski Madame B. Czuje łzy gromadzące się pod powiekami. Nie może pozwolić im wypłynąć spod powiek. To jest słabość, a słabość jest tutaj zakazana. Jak tylko jej pozwolono, pobiegła do toalety. Zwymiotowała. Czuiła obrzydzenie do samej siebie. Czuiła, że to ona powinna tam być z lnianym workiem na głowie.

To już koniec szkolenia. Czas na ostatnią próbę. Wypuścili wszystkie łabędzie na pastwę Syberii. Stroje obcisłe, ale nie zapewniające dużo ciepła i nóż kieszonkowy – to wszystko, co ma każda z nich. Nie. Yelena ma coś więcej. Osoba, której na niej zależy będzie pilnować “areny zmagania”. Wayne będzie krążył, pilnując porządku. Żadna z nich jeszcze tego nie wie, ale tylko jedna na dwadzieścia przeżywa tę próbę.

Yelena przedziera się przez śnieg. Siły ją opuszczają, ale widzi coś. Sylwetkę, którą rozpozna wszędzie – jej Wayne przedziera się przez śnieg w jej stronę.

– Wayne, co oni ci zrobili? Gdzie jest wolny człowiek, którego czasem widzę w twoich oczach? – po raz pierwszy zadała to nurtujące ją pytanie.

Wayne nie odpowiada, nawet na nią nie patrzy. On wie, że ona umiera. Słysząc to po jej głosie. Łza spłynęła mu po policzku.

– Wayne. Chyba umieram – stwierdziła – Nie płacz. Nie marnuj swoich sił – powiedziała ostatkiem własnych.

Jej wiotkie, delikatne ciało upadło na ziemię. Nie! Nie! Nie może pozwolić jej odejść. To ona odnalazła w nim człowieka. Skutego przez wiele lat syberyjskim lodem i zacięcie tępionego przez system, który miał zrobić z niego maszynę; posłuszną, bezmyślną lalkę wykonującą rozkazy. ONA go odkopła, odmroziła. Wayne wziął wiotkie ciało. Już nie było z marmuru. Teraz to był mały łabądek skulony w jego rękach. Dopiero teraz zauważył, jak blada była jej skóra przez brak kontaktu ze słońcem, jak była wychudzona przez jedzenie ilości jedzenia tylko takich, by pozwolić jej przeżyć i trenować.

Yelena chciała już opuścić ten świat. Czuła już to ciepło tak inne od surowego syberyjskiego klimatu. Jej powieki są lekkie. To aż dziwne. Otwiera je powoli. Jest w bardzo skromnej izbie – tylko łóżko, stół, krzesło, palenisko i on – Żołnierz. Dziewczyna założyła, że to jego miejsce zamieszkania. Wayne rozejrzał się. Gdy zobaczył, że Yelena jest przytomna powiedział:

– Wayne Rogers. Nazywam się Wayne Rogers – po czym zamilkł i znów spojrzął za okno.

Te słowa cały czas brzęczały w powietrzu. Przypomniał sobie swoje imię. Skrzywdzili go tyle razy, że to było wielkie osiągnięcie – oboje to czuli.

Yelena podeszła powoli do Żołnierza. Wzięła jego twarz w swoje dłonie. Błada skóra na jej rękach tak bardzo odcinała się od ciemnej, krótko przystrzyżonej brody. Spojrzała mu w oczy, czekając aż pozwoli jej na to, co chciała zrobić. On wiedząc, o czym myśli baletnica, tylko skinął lekko głową. Ich usta zbliżyły się do siebie, łącząc się w pocałunku, tak krótkim, a zarazem tak znaczącym dla nich obojga.

– Wyciągnę nas stąd, Wayne. Obiecuję – wyszeptwała. – Obiecuję. Yelena jako jedyna ukończyła próbę Syberii. Ostatni raz wchodziła do szkoły baletowej, w której spędziła prawie całe swoje życie, trenując i tańcząc. W sali za przeszkloną ścianą odbywała się właśnie lekcja. Niewinne baletnice, niewiedzące co je czeka, że tylko

jedna z nich przeżyje. Widziały już śmierć, ale nie z bliska. Yelena podeszła do kobiety obserwującej tancerki. Madame B nawet nie zwróciła się w jej stronę. Dziewczyna przyglądała się baletnikom, wykonującym tak dobrze znany jej układ.

– Złamiecie je – powiedziała w końcu.

– Tylko te, które się da – odparła kobieta – Ty jesteś z marmuru. Uczymy to jutro po ceremonii – odwróciła się w kierunku Yeleny. Ostatnia noc przed ceremonią. Ostatnia noc w tym budynku przepelnionym złymi wspomnieniami. Dziewczyna chodzi do teraz prawie pustego pokoju, a pod ścianą stoi on - Żołnierz, odbicie jej wnętrza, złamany tak samo jak ona, jeśli nie bardziej. Tym razem nie jest tak jak zwykle. Tym razem coś wisi w powietrzu. Yelena podchodzi do mężczyzny.

– Co się stało Wayne? – spytała delikatnym głosem

– Zabierają mnie stąd. Wyjeżdżam – powiedział odwróciwszy głowę.

– Co? Nie. Nie mogą mi cię zabrać – odparła dziewczyna, czując łzy pod powiekami.

– Pozwól poczuć mi to jeszcze ten jeden raz – wyszeptał mężczyzna biorąc jej twarz w dłonie.

Pocałowali się. W tym momencie każde z nich przyrzekło sobie, że nigdy nie zapomni tego uczucia. Yelena przyciągnęła Wayne'a za szyję, a on ją za talię. W końcu się od siebie oderwali.

– Nie chcę by to się skończyło – powiedziała baletnica w końcu dając wypłynąć łzom.

– Wiem. Ja też nie chcę – wyszeptał Wayne, ocierając palcem łzy z jej policzków.

Następnego dnia po ceremonii kończącej trening na czarnego łabędzia, Yelena stała przed budynkiem szkoły baletowej. Patrzyła, jak zabierają Żołnierza, łzy płynęły jej po policzkach. Ona się zemści, odzyska go z powrotem, sprawi że przestanie cierpieć. Nie spocznie, póki ciało jego ostatniego oprawcy nie upadnie na ziemię. Ona wtedy nie będzie płakać. Nie będzie płakać, ponieważ łabędzie nie płaczą.

Toń Łaby

W pomieszczeniu panowała duchota, w nozdrzach można było poczuć unoszącą się woń alkoholu. Krzyki pijanych wypełniały cały bar, nie pozwalając innym słyszeć własnych myśli. Rzut okiem na prawo. Młody chłopak, siedzący przy starszej kobiecie, rozmawiającej z jakimś mężczyzną. Ciekawe, kiedy dzieciak trafił na ulicę. Rzut okiem w lewo. Stary człowiek z twarzą ukrytą w ramionach, co jakiś czas wydający z bólem żaloszny jęk. Czy to piąte piwo to skutek kolejnej podwyżki cen?

Nagle do uszu bawiących się dochodzi cichy dźwięk dzwonka, a po chwili masywne drzwi otwierają się, ukazując stojącą w nich sylwetkę. Oczy wszystkich zwracają się w kierunku ubranego w brunatny płaszcz, kontrastujący z białą zamiecią szalejącą za jego plecami, młodzieńca. Ten z trudem zamyka drzwi, które wydają z siebie ostry zgrzyt. Zniszczone buty stukają o drewnianą podłogę, zostawiając za sobą ślady błota zmieszanego ze śniegiem.

Gdy młodzieniec stanął przed ladą, wszyscy wrócili do swoich dotychczasowych zajęć, a pomieszczenie znów wypełniło się gwarem rozmów. Tylko jedna osoba wciąż nie odwróciła wzroku od chłopaka. Wyostrzyła słuch, aby usłyszeć właśnie toczącą się rozmowę.

– Witam, co dla pana? – rozpoczął rozmowę barman, na oko mężczyzna po pięćdziesiątce.

– Kufel piwa poproszę – odpowiedział gość zmęczonym głosem.

– To będzie dwa miliardy marek. – Barman zabrał się do przygotowywania trunku.

– Uff, zdążyłem – odparł tylko z wyraźną ulgą, wyciągając z kieszeni tak dobrze znany oliwkowy banknot, dreźnieński Notgeld dumnie głoszący potrzebną wartość.

– A to co, od razu po pracy pan gnał, żeby ceny nie podwoili? – zapytał z przekąsem, podając młodzieńcowi piwo.

– Właściwie to tak. Teraz to nie wiadomo, co będzie. Podobno ten cały Schacht ma coś zmienić, ale czy mu wierzyć? – Wziął w dłoń podany kufel i podniósł do ust, upijając trochę.

– To co, pan za tymi od tego marszu?

– Czy za, czy przeciw, to nic nie zmienia. Powinien pan zobaczyć Völkischer Beobachter i dopiero potem oceniać.

– Co, panowie dyskutują o tym całym Hitlerze? Przecież to, co ten chłop wyprawia, w głowie się nie mieści. – Do rozmowy dołączył się trzeci głos. Rzut okiem na tył pomieszczenia, w którym od stołu wstał mężczyzna w zadbanym ubraniu.

– A pan niby myśli, że z tymi będzie nam lepiej? Na reperacje się zgodzili! A przecież wojnę mogliśmy wygrać! Gdyby tylko nie ci zdrajcy... – Młodzieniec zaczął zgrzytać zębami.

– Co nie zmienia faktu, że Schacht wydaje się myśleć, a co ma tamten do zaferowania? Brak mu piątej klepki. Zwyzywałbym go gorzej, ale nie chcę gorszyć pań.

– To nie widzi pan, co się teraz dzieje? Ceny wznoszą się co trzy dni, nie można być pewnym jutra, na ulicy widzę ludzi wiozących pieniądze do banku na taczkach! Za zwykły bochenek chleba trzeba płacić pięćset milionów! Jeszcze przyjdą z rozwiązaniem równym temu Helffericha. – Chłopak odłożył kufel na ladę, otarł dłonią wargi i zrobił pierwszy krok w stronę mężczyzny.

– A panowie to na wojnie byli? – To głos z lewej. Zapewne tego człowieka, który przepijał swoją rentę.

Cisza była aż nazbyt wymowną odpowiedzią.

– Bo ja byłem – kontynuował. – A naród tak mi się odwdzięcza, że nazywają mnie pijakiem. Ja nie chcę pić, ale co mam innego robić, jak roboty nie mam? Wiecie, jak sobie we Włoszech poradzili? Jak Hitler robi to samo, to ja jestem za nim.

– A pan uważa, że wojnę mogliśmy wygrać? – Po krótkiej przerwie pytanie padło z ust młodzieńca.

– Czy mogliśmy wygrać? Tego to nie wiem, ale nawet jeśli tak, to za jaką cenę? – Wskazał dłonią na kikut nogi. Na twarzach dyskutujących pojawił się grymas zdegustowania. – Pod Verdun ranny zostałem, gangrena się wdała i amputować trzeba było. I tak wła-

śnie zostałem bez roboty, bo kaleki nikt nie chce przyjąć – dokończył swoją opowieść i wziął duży łyk alkoholu. W rzeczywistości nie był aż tak stary. To wojna musiała go tak zmienić.

– To co pan myśli o naszym aktualnym położeniu? Teraz pytanie zadał mężczyzna z tyłu.

– Życ się nie da. Z cenami niby próbują coś robić, ale jakoś nic nie wymyślili. Gdyby ktoś założył u nas kolejne Fiume, to palcem by pewnie nie kiwnęli. Przyjmują ludzi młodych, rokujących, a tacy jak ja? Po co im potrzebni. Powtarzam, jak Hitler cokolwiek zmieni, to mogę się nazywać jego zwolennikiem.

– Przecież to, co ten człowiek mówi, to kompletne bzdury! Oskarżanie o wszystko Żydów i komunistów! Co to ma niby zmienić?

– W oczach mężczyzny pojawiły się iskry gniewu.

– Tak? A co ma niby nam zaoferować Schacht? To samo co tamten poprzedni Żyd? Dobrze, że go zamordowali! – Krzyk poniósł się po całym barze, momentalnie uciszając wszelkie inne rozmowy. Wzrok wszystkich ponownie powędrował na chłopaka, który swe kroki skierował w stronę mężczyzny.

– E, panowie, spokojnie, bo mi lokal cały roznieściecie! A nie wiem, ile bym bez niego przeżył! – Na stanowczy głos barmana młodzieniec zatrzymał się, rzucił pogardliwe spojrzenie swojemu konkurentowi i powrócił do pozostawionego na ławie trunku. Tamten skwitował to cichym prychnięciem. Gdy pozostali zrozumieli, że dyskusja już się zakończyła, momentalnie powrócił hałas. Tylko jedna osoba dalej przyglądała się ladzie i wyostrzyła słuch, słysząc kolejne pytanie.

– Pan to tutejszy? Słyszał pan, że starą Helgę zabili? Barman podjął kolejną rozmowę, przyciszając głos.

– Ano słyszałem. Strach na ulicę wyjść – odparł tylko młodzieniec, upijając kolejny łyk.

– Które to już w tym roku? – zastanowił się, unosząc głowę do góry.

– Czwarte. Odpowiedź padła z ust jedynej osoby, która wsłuchiwała się w pogawędkę.

Obaj rozmówcy spojrzeli zaintrygowani w lewo, dostrzegając tego, kto wypowiedział to krótkie słowo.

– Ładnie to tak podsłuchiwać? – zaśmiał się barman.

– Nie wiem, chciałem tylko odpowiedzieć. – Dwudziestoparolatek uśmiechnął się, głaszcząc długie, przepuszczone przez ramię orzechowe włosy.

– To pan niczego nie zamówił? Chociaż nie dziwię się, patrząc na pańskie ubranie – Chłopak spojrział sugestywnie na umorusaną koszulę i czarny, podziurawiony płaszcz zarzucony na plecy.

– Nie „pan”, wystarczy Edgar. I nie miałem ochoty. Przyszedłem tylko posłuchać jakichś wieści. Wiadomo, co z tym mordercą? – Pytanie zadane głębokim głosem poniosło się po pomieszczeniu, przykuwając uwagę pozostałych gości.

– Panowie o tych zabójstwach? Podobno ofiarami padają tylko ci bardziej bogaci, więc my nie mamy się o co martwić. – Stwierdzenie, które padło gdzieś z lewej, wycisnęło żyłkę na czole chłopaka, który jednak zamiast odpowiedzieć, łyknął haust piwa.

– Nazywają go w gazetach „wampirem z Drezna”.

– Jak teraz z Drezna, to może kiedyś inne miasta wezmą z nas przykład! – Po barze przeszła salwa gromkiego śmiechu, połączonego z okrzykami „Polać mu!”.

– Ja tam słyszałem, że policja wzięła jakiegoś detektywa do pomocy. Z tego starego rodu Elbe, chociaż teraz to już pewnie wszyscy o nich zapomnieli. – Te słowa padły z tyłu sali, rozpalając iskierki zainteresowania w czekoladowych oczach Edgara.

– Wiadomo o nim coś więcej? – zapytał, spoglądając na zadbanego mężczyznę.

– Sam nie wiem, podobno rozwiązał już parę spraw. Mogę się mylić, ale chyba nazywa się Albert. – Widząc niezrozumienie na twarzach ludzi, kontynuował. – Sam nawet nie wiedziałem o żadnym rodzie Elbe, ale poczytałem trochę, kiedyś był jednym z najbardziej wpływowych w całej Saksonii. Ciekawe jest to, dlaczego nikt nie zna tego całego Alberta.

W barze na chwilę nastąpiła cisza.

– Może toast na cześć tego detektywa? – zaproponował w końcu ktoś.

Pomysł spotkał się z rozradowanym poparciem gości, więc już po chwili całe pomieszczenie wypełniło się głośnymi okrzykami „Za Alberta!” i stukiem kufli wypełnionych alkoholem. Tylko Edgar nie wznosił toastu, zresztą nie posiadał przy sobie nawet kieliszka. Powoli, zakładając płaszcz, podniósł się z krzesła. Następnie udał się w kierunku drzwi, uderzając obcasami starych oficerek o podłogę.

– Chciałbym jeszcze zostać, ale czas nagli. Dobrego wieczoru panowie! – pożegnał się i wyszedł naprzeciw zamieci, która wciąż prószyla śniegiem, smagała twarz wiatrem i owijała ciało przeszywającym mrozem. Spojrzał na niebo, na którym nie było ani jednej jaśniejącej gwiazdy czy księżycy. Na twarzy Edgara pojawił się uśmiech. Miał jeszcze dziś coś do załatwienia.

Oczekiwanie zawsze było najgorsze. To dziwne uczucie ekscytacji, łączące się ze zdenerwowaniem. Ta niepewność, czy aby na pewno się uda. Ale z drugiej strony, to uczucie było fascynujące. Ciągła adrenalina była czymś, co zapewniało emocje.

Właśnie dlatego Edgar czekał teraz w pustym zaułku, a jego serce wybijało rytm marsza. Jeszcze chwilę, niedługo powinna wyjść. Przecież jego obserwacje nigdy go nie mylą...

Usłyszał odgłosy skrzypienia. Śnieg przestał padać, ale droga wciąż była nim pokryta. Idealnie. W ten sposób tak łatwo określić położenie ofiary. Co prawda zostają odbite ślady, ale na to miał już sposób.

Wtem zza rogu wyłoniła się starsza kobieta, trzymająca w dłoni siatkę z zakupami. Ubrana była w ciepłe futro z norek, które odebrała od krawcowej dokładnie tydzień temu. Wydawała się gdzieś spieszyć, gdyż jej kroki były stanowcze, a twarz wyrażała zdenerwowanie. Czyli jego przypuszczenia były słuszne. Petra Till szykowała się do opuszczenia Drezna, a to Edgarowi jak najbardziej odpowiadało.

Kobieta nawet go nie zauważyła. Najprawdopodobniej z jego obecności zdała sobie sprawę dopiero wtedy, gdy jedną ręką złapała ją za klatkę piersiową. Kobieta po chwili zdziwienia zaczęła się wyrwać, ale było już za późno. Nożyce krawieckie były już wbite w tył jej głowy, a po szyi zaczęły spływać pierwsze krople krwi, plamiąc ręce Edgara. Po chwili kobieta przestała się rzucać, a jej ciało leżało bezwładnie w rękach mężczyzny. Łatwizna. Jak bardzo chciałby teraz dodać kilka cięć, sprawić, by jej skóra pokryła się tyloma ranami, ile zdoła, by dźgnąć serce, płuca, żołądek, może poprzecinać ścięgna... Nie, nie może. Dzisiaj musi się spieszyć. Następnym razem to sobie wynagrodzi.

Schował zakrwawione nożyce do kieszeni płaszcza i wolną dłoń przyłożył do ust kobiety. Uśmiechnął się, czując, że ta nie oddycha. Delikatnie ściągnął z martwej kobiety futro, a następnie wrzucił je do przygotowanego wcześniej kartonowego pudła. Kozaki nałożył na własne nogi, uprzednio ściągnąwszy swe oficerki i czyniąc z nimi tak samo jak z futrem. Z niewielkim trudem zarzucił bezwładne ciało za ramię. Teraz trzeba zimitować jej kroki, zupełnie jakby to ona podążała na ulicę, aby zaczepić jakiegoś kierowcę. Na szczęście był na Steinstraße, więc nie będzie się zbytnio trudził z wrzuceniem ciała do rzeki, która jeszcze nie pokryła się zdradliwym lodem. A jedynym świadkiem był srebrny księżyc, błyszczący teraz w sierpnie.

Mieszkanie Petry Till na co dzień było urządzone niezwykle gustownie, ale teraz ściany, szafki, czy półki lśniły pustkami. A Edgar, przybrany w futro oraz kozaki właścicielki wiedział, czego szukać.

Na wyszywanym dywanie, w jak podejrzewał, salonie, leżała czarna walizka, kontrastująca z odcieniem kremowego, w którym kąpało się pomieszczenie. Edgar natychmiast do niej podbiegł i bez zastanowienia ją otworzył. Na jego twarz ponownie wkradł się uśmiech satysfakcji. Czyli to tutaj ukryła najcenniejsze wyposażenie jej mieszkania, w nadziei, że dzisiaj opuści Drezno. Nie dość,

że go nie opuściła, to teraz zostanie już na zawsze w zimnych wodach Łaby. Ponownie zamknął walizkę, wziął ją w dłoń i podniósł się z dywanu. Czy zabijał, aby złagodzić swoją biedę? Kiedyś może tak.

Opuścił mieszkanie niosąc ze sobą walizkę. Pora poudawać Petrę, czekającą na kierowcę, który ją ukryje przed wścibską lokatorką kamienicy obok, co wieczór obserwującą okolicę.

Więc dlaczego mordował? Skoro nie dla celów majątkowych? Dla własnej satysfakcji. Czy wiedział, że to złe? Oczywiście, ale zawsze tłumaczył się przed sobą swoją biedą.

Nazajutrz Edgar znów zjawił się w barze. Gdy znalazł się w środku, doznał niemałego zdziwienia. Woń alkoholu i cygar wciąż unosiła się w pomieszczeniu, ale nie zastał żadnych krzyków, kłótni, czy bójek – wszyscy goście siedzieli cicho, jak mysz pod miotłą i nawet nie zwrócili uwagi na dźwięk dzwonka.

– Dzień dobry panowie, co się dzieje? – zapytał i wszyscy natychmiast wybudzili się z tego transu, ale odpowiedź nie była już mu potrzebna.

Przy ladzie stał młodzieniec, na oko jego rówieśnik. Jego przydługie złotawe włosy, lśniące w świetle lamp opadały na beżowy płaszcz. Ten jednak zdawał się wciąż go ignorować.

– Ooo, Edgar? Jeżeli dobrze pamiętam. Pamiętasz, wczoraj rozmawialiśmy o tym detektywie, którego wzięli do tych morderstw? Oto pan Albert – przedstawił młodzieńca, próbując ukryć wyrażone zdenerwowanie za maską uśmiechu.

Dopiero teraz Albert odwrócił się, a oczom Edgara ukazał się dwudziestoparolatek, pod płaszczem ubrany w szarą marynarkę z czerwonym krawatem zawiązanym pod szyją.

– A co szanowny pan robi w tym barze? – Przecież to niemożliwe, żeby już wiedzieli, czyż nie? Dalej nic nie wiedzą, myślą, że stara Till wyjechała.

– Panie Edgarze, czy po prostu Edgarze. Do morderstw dochodziło w tej okolicy, chciałem się tylko rozglądnać. A bary są doskonałym miejscem do obserwacji, wiesz? – Uśmiechnął się niewinnie.

– „Czyli nic nie wiedzą. Chociaż trochę głupio się zachowałem, szukając ofiar tylko tu. Do następnego musi dojść gdzieś indziej”.

– Edgar starał się nie okazywać, ile ulgi przyniosła mu ta informacja.

– Chyba ma pan rację, panie Albercie Elbe. – skwitował tylko, również się uśmiechając.

– Samo Albert wystarczy.

– A nie chciałby pan, znaczy... Albercie, nie chciałbyś gdzieś usiąść? Akurat tak się zdarzyło, że też interesuje mnie ta sprawa, więc chciałbym trochę o niej posłuchać. – Miał okazję do wybadania terenu, a to nie zdarzało się często. Musiał to wykorzystać.

– Właściwie, to dobrze. Ale zastrzegam, że nie mogę ci zdradzić wszystkich szczegółów – odpowiedział, kierując się w stronę najbardziej oddalonego stolika.

Edgar kiwnął głową i poszedł za nim. Przy okazji zauważył, że Albert był od niego niższy o głowę. Zabawne.

Albert usiadł na krześle, uprzednio zawieszając płaszcz na oparciu, a Edgar poszedł w jego ślady.

– To co chciałbyś wiedzieć? – Harde spojrzenie szmaragdowych oczu przeszło go.

Edgar rozsiadł się wygodnie.

– To co mi powiesz? Nie mam jakichś specjalnych wymagań. – odparł, niby od niechcenia. To nie on miał rozdawać karty w tej grze. Pozostawił to Albertowi.

– Eh, to dosyć rozbudowane. O zabójstwach pewnie wiesz. Do tej pory było pięć.

– A nie cztery? Myślałem, że od sierpnia nic się nie wydarzyło – Przecież to niemożliwe. Nie mogli jeszcze tego odkryć! A on nie mógł się zdradzić, dlatego wciąż siedział, posłusznie przyjmując tę kartę do swej tali.

– Racja, udowodniono cztery. Ale jestem niemal pewny, że doszło do piątego. Do morderstw dochodzi mniej więcej co trzy miesiące.

Skoro ostatnie miało miejsce w sierpniu, logiczne wydaje się, że termin następnego to listopad. A moje przeczucie mówi mi, że to już się wydarzyło. – Podniósł wzrok ze stołu i wpatrywał się uważnie w Edgara.

Hmm, właściwie możesz mieć rację. Sam nie zwróciłem na to uwagi. – odpowiedział tylko, ukrywając, jak bardzo poruszyła go karta wyciągnięta przez Alberta – A dlaczego policja wzięła do tego akurat ciebie? Postępy w śledztwie musiały być koszmarnie, nie często widzi się przy sprawach detektywów. – Teraz w ruch poszła jego karta.

Albert pokręcił głową.

– Dlaczego mnie? Nie wiem. Może dlatego, że reprezentuję jeden z najstarszych rodów w Saksonii? Poza tym rozwiązałem już parę spraw. A o postępach nie mogę ci nic powiedzieć.

„Sprytny ruch Albercie. Odpowiedzieć na pytanie, jednocześnie nie odpowiadając”. – pomyślał Edgar. Podobał mu się taki przeciwnik.

– Opowiesz o sobie coś więcej? – Postanowił zagrać ostrożnie. Może Albert uzyska zbyt dużą pewność siebie i zdradzi coś ważnego.

– Wolę nie. I tak ci się to na nic nie przyda.

– A gdybym nazwał cię swoim przyjacielem, powiedziałbyś? – Nie mógł stracić takiej okazji. To była pora na asa.

– Kto chciałby przyjaźnić się ze mną? Z resztą, muszę już iść. – Spokój szmaragdowej tafli został zaburzony, zupełnie, jakby wrzucono w nią kamień. Edgar uśmiechnął się w myślach. Może i nie zyskał zbyt wiele informacji, ale jego atak się powiódł.

Albert podniósł się z krzesła i nałożył na siebie płaszcz.

– Na razie mnie zaintrygowałeś Edgarze. Ale jeśli to ty okażesz się wampirem z Drezna, zniechęcę cię – mruknął tylko na pożegnanie.

„Nie będziesz wyjątkiem. Matka i siostry już to zrobiły. Ale ty również mnie zafascynowałeś” – powiedział w myślach, kierując się w stronę lady. Zdobyte wczoraj pieniądze trzeba było jakoś wykończyć.

Dwa dni później Albert siedział w fotelu w swoim gabinecie, spokojnie popijając herbatę. Przeglądał raporty dotyczące znalezionych dzisiaj rana zwłok chłopca. Ciało pozostawione na Friedrichstraße dostrzegł patrol policji.

– Proszę pana? Czyta już to pan dziesięć minut. – odezwał się w końcu młody chłopak, stojący przy szarej, szorstkiej ścianie.

Albert podniósł wzrok znad papieru i przeniósł go na brązowowłosego chłopaka, ubranego w czarny garnitur, zdecydowanie na niego za duży.

– Masz rację, zamyśliłem się. I ile razy mam ci powtarzać, nie pan, po prostu Albert. – uśmiechnął się patrząc przepraszająco w jego kierunku.

– Dobrze, panie, znaczy Albercie. Co o tym sądzisz? Zadźganie nożem. Jakie to musiało być okropne. Wyobraża sobie pan, znaczy wyobrażasz sobie, co musiał czuć? Sam w mroźną noc zostawiony na pastwę jakiegoś szaleńca... – opuścił głowę, starając się powstrzymać łzy.

Zamiast oczekiwanych słów pocieszenia, po pomieszczeniu poniosł się chichot. Z początku cichy, później nabierający na sile. Prerażony chłopak powoli obrócił głowę w kierunku przełożonego.

– Czy... czy wszystko z tobą dobrze? – zapytał trzęsącym się głosem, widząc tego z szaleństwem w oczach.

Jak na zawołanie, Albert przestał się śmiać, ale lekki uśmiech pozostał na jego twarzy.

– Nasz wampir właśnie wyszedł na słońce – odpowiedział tylko, zupełnie, jakby to miało wystarczyć.

– Ale co to znaczy? Przecież jego ofiary kompletnie różnią się od tej dzisiejszej!

– Erich, posłuchaj. Wczoraj, gdy byłem w barze przy Steinstraße stwierdziłem, że do morderstw dochodziło wyłącznie w tym obszarze. Fakt, że dzisiejszego morderstwa dokonano w zachodniej części zakreśla krąg podejrzanych do obecnych tam wtedy.

– Uśmiech nie schodził z twarzy Alberta. – W dodatku przyzna-

łem, że dostrzegłem, iż do zabójstw dochodziło w pewnych okresach czasowych. Całkowity brak powiązania we właściwie żadnym aspekcie, zawęży krąg podejrzanych do jednej osoby, z którą o tym rozmawiałem.

– Ale przecież zawsze istnieje prawdopodobieństwo, że się mylisz! A ten chłopak jest ofiarą kogoś kompletnie innego!

– Nie ma żadnego prawdopodobieństwa. Jestem pewien, że dzisiaj schwytały naszego wampira. – W chłopaka uderzyło pewne spojrzenie szmaragdowych oczu, które teraz sprawiały wrażenie nieugiętych.

– Ale dlaczego dziś?

– Obecnie nasz wampir ma dwie możliwości: albo zaprzestać ataków i powrócić po trzech miesiącach, albo wciąż brnąć w tworzenie sobie drugiej tożsamości. I wiem, że wybierze drugą opcję. W końcu trochę go już poznałem.

– Więc... chcesz się wieczorem przyciąć przy Friedrichstraße z nadzieją, że ukaże się tam morderca? – zapytał Erich, głosem pełnym wątpliwości, chociaż wiedział, że jego opór by się na nic nie zdał. Gdy jego przełożony podjął się jakiegoś zadania, nikt nie mógł go od niego odciągnąć.

– Dokładnie. Cieszę się, że się rozumiemy.

W pomieszczeniu zapanowała cisza, przerywana tylko rytmicznymi uderzeniami zegara.

– Ten chłopak... On dla ciebie nic nie znaczył, prawda? Bo był Żydem? – rzucił Erich pytanie oskarżycielskim tonem.

Znów cisza. Tik-tak, tik-tak.

– A kogo to obchodzi? – odparł matowo Albert.

Tik-tak, tik-tak.

Obydwaj wyszli z biura, pozostawiając za sobą zimno bijące z pomieszczenia.

– Proszę pana, inni znowu się ze mnie śmieją i mówią, że do niczego się nie nadaję – rozpoczął kolejną rozmowę Erich, podążając za krokami Alberta przez długi korytarz z licznymi obrazami na ścianach.

– Wiesz, w mojej rodzinie też zawsze tak mi mówili. Bo przecież miałem być perfekcyjną, nową głową rodu. Blizny mam do dziś. Ale i tak zostałem detektywem i, jak widzisz, ludzie wciąż mają do mnie szacunek – opowiedział Albert, bez żadnej emocji w głosie. – Po prostu rób to, co chcesz.

Erich energicznie pokiwał głową, a na jego twarzy znów zakwitł szeroki uśmiech.

„Teraz to ja przystąpię do ataku, Edgar. I nawet nie myśl, że powstrzymam się przed czymkolwiek” – powiedział w głowie Albert, a jego usta wykrzywiły się w uśmiechu satysfakcji.

Edgar otarł szmatką nóż. Biała tkanina momentalnie przesiąkła karmazynową cieczą. Zaklął. Dzisiaj trochę stracił kontrolę, ale nie wiedział, że aż tak taplał się we krwi. Spojrzał w dół, na zmasakrowane ciało chłopaka. Ile mógł mieć? Z dziesięć lat? To nie miało już znaczenia. Teraz był jedynie poszarpaną skórą z kawałkami wystającego mięsa i wnętrzności. Krew lała się obficie, stanowiąc tak wielki kontrast ze śnieżnym tłem. Miał nadzieję, że jego kamuflaż się powiedzie, a policja znów zabłąka się we własnych raportach.

Odwrócił się na pięcie, chcąc spokojnie odejść od śmierdzących zwłok, gdy zdał sobie sprawę, że w zaułku nie jest sam.

– Edgarze Schroeder, zostajesz zatrzymany pod zarzutem popełnienia sześciu morderstw ze szczególnym okrucieństwem. – Albert wystąpił przed majaczący za nim szereg policjantów. Edgar dostrzegł wycelowany w niego pistolet.

Nie uciekał. Nie miał po co.

– Czy nienawidzisz mnie Albercie? Tak, jak zapowiedziałeś? – Pragnął znać odpowiedź. Chciał wiedzieć, jakie emocje kryją się za tymi hardymi szmaragdami, wpatrzonymi w niego.

Albert popatrzył na niego ze zdziwieniem.

– Oczywiście, że tak. Dlaczego bym nie miał?

– A dlaczego byś miał? – „Dobrze, dokończmy naszą partię. Daję ci otwartą drogę”

– Bo zabijałeś ludzi – W oczach Alberta malowało się jeszcze większe zdziwienie.

„Och, Albercie, widzę, że jeszcze nie pojąłeś, że nasza gra trwa dalej. Nie zawieźdź mnie tak”.

– I tylko tyle? Sam nienawidzisz tylu ludzi, wiem, że cicho przykaskujesz działaniom Hitlera. Może i sam nie zabijasz, ale zgadzając się z tym, możesz w przyszłości przynieść śmierć milionom. – Teraz nie może się już cofnąć. Rozpoczął wystawiać swoje figury.

Albert wziął głęboki oddech.

– To coś innego. Ty robiłeś to bezpośrednio. Dla swojej własnej satysfakcji – odpowiedział Albert, teraz już spokojnie, przywracając swoim oczom spokojną taflę.

– Dla swojej własnej satysfakcji? Nie powiedziałbym. Kiedyś robiłem to dla matki i siostry, ale one się mnie przeraziły. Dlatego teraz robię to, aby przetrwać. Chociaż nie ukrywam, sprawia mi to ogromną przyjemność. – Czy powiedział teraz prawdę? Nie dbał o to. Gra musi toczyć się dalej, a on musi poznać asa Alberta.

– A ty? Byłbyś skłonny zabić z... nienawiści? Doskonale wiem, że nienawidzisz swojej rodziny, dlatego starasz się uciec od swojej przeszłości tak daleko, jak tylko możesz. W końcu nikt nawet nie zauważył, jak oni się nad tobą znęcali. Dlatego nie chcesz, aby zwracać się do ciebie nazwiskiem Elbe, czyż nie?

Zobaczył to. Zobaczył, jak szmaragdy roztrzaskują się na miliony kawałeczków, a Albert patrzy na niego wyprany z jakichkolwiek emocji. Osiągnął to, co chciał. Za chwilę partia się zakończy, wyciągnięciem asa przez jego przeciwnika.

– Nie interesuje mnie, skąd masz te informacje. Masz rację, nienawidzę ich. Nienawidzę ich za wszystko. Nienawidzę! – ostatnie słowa wyrzyczał, co spłoszyło kruki powoli dziobiące martwe ciało dziecka za nimi. – Ale wiesz co? Może rzeczywiście zbytnio się nie różnimy. Mogę zabić z nienawiści. A nienawidzę również ciebie!

W zaułku rozległ się huk wystrzału. Właśnie tak wyglądał as Alberta. Edgar był szczęśliwy, że ostatnia partia w jego życiu rozegrała się właśnie pomiędzy nimi. Ale chwila. Dlaczego Albert nie miotał

się wiedziony swoim szaleństwem? Dlaczego na jego twarzy nie było absolutnie żadnej emocji? Dopiero teraz Edgar zrozumiał. To Albert był rozgrywającym tej ostatniej gry. Tym, co zobaczył na końcu, zanim powitały go zimne ramiona śmierci, były dwa czyste szmaragdy, spokojne, jak toń nieprzebranej Łaby.

**Zofia Marczak (Hortensja Labouchere), kl. 7
Szkoła Podstawowa nr 9 w Skierniewicach**

Alfred Norkowski i Super Suszarka, czyli odkrycia psa z nory

W pewnej norze mieszkał pies. Pies ten nazywał się Alfred Norkowski i nie był to zwyczajny zwierz. Nie lubił on zimy tak bardzo, że samo wspomnienie o tej porze roku malowało na jego pysku wyraz ogromnego obrzydzenia. Dlatego właśnie całą ją przesypiał i budził się dopiero pod koniec kwietnia. Jednak Alfred postanowił to zmienić.

Pierwszego grudnia, chwilę po wielkiej śnieżycy udał się do lokalnego marketu AGD. Dopiero po kilkukrotnym obchodzie sklepu znalazł to czego szukał – Super Suszarka marki Lśniący Włos z funkcją lokowania, prostowania, falowania, karbowania, czesania i oczywiście suszenia gorącym i zimnym powietrzem. Mimo że było to bardzo kosztowny zakup, wyszedł ze sklepu zadowolony. Musicie wiedzieć, że tam, gdzie mieszkał Alfred, widok psa robiącego zakupy był całkiem normalny. Kiedy wrócił do swojej nory, wyciągnął ze starej komody Super Śrubokręt. Pożyczył go od swojego sąsiada szczura, pana Szczurkowego, który jest najlepszym na całym świecie wynalazcą. Przekręcił główną śrubę suszarki pięć razy w lewo, pięć razy w prawo i BUM – suszarka osiemdziesiąt razy większa. A kiedy był już na dworze, Super Suszarka odleciała, a on krzyczał za nią: „Szybciej, szybciej!”. Dziwny obiekt

latający wzbudził zainteresowanie ludzi na całym świecie, którzy powtarzali tylko: „A cóż to? Czyżby kolejny wynalazek pana Małpowskiego?”. Po paru minutach Super Suszarka zatoczyła koło nad Ziemią (bo wtedy była jeszcze płaska) i powróciła do Alfreda. I wszystko skończyłoby się dobrze, gdyby nie to, że śnieg nie stopniał.

Alfred spojrział zaskoczony na przełączniki suszarki i zobaczył świecący napis LOKOWANIE WŁĄCZONE. Tak Ziemia stała się okrągła, choć ludzie uważają, że była taka od zawsze. Bardzo prawdopodobne, że Alfred ponowi swój eksperyment, ale na to potrzebne będzie jeszcze trochę czasu.

Aleksandra Kocot (Anta), kl. 8
Szkoła Podstawowa nr 36 w Bytomiu

Wszystkie oblicza wolności

13 grudnia 1981

Płatki śniegu biłą się opadając miękko na ciemne ulice. Pada śnieg, prószy śnieg, wszędzie go nawiało. Dachy są już białe, na ulicach biało. Stroją się w biel drzewa. Na ziemię, jakby całun opadł, jakby świat zamienił się w biel.

– Nie widać świata, jest cały w bieli – wykrzykują podchodząc do okna.

W domu znowu ruch. Mama piecze moją ulubioną szarlotkę.

– A skąd masz szare renety, mamcia? – Krzyczę, patrząc na rodzicielkę z ukosa.

– A wiem – odpowiadam sama sobie – Kłocowa pewnie ze wsi przywozła. A wiesz, mamcia, że ja dzisiaj banana widziałam – i tak formułuję barwę głosu, żeby była bardziej wiarygodna.

– No... nie tak zupełnie widziałam, ale Ewka rzekła, że ta Ula z końca ulicy wcina coś na kształt tego rarytasu. Pomyśl mamcia, jakie to musi być pyszne?

Mama naraz odkłada wałek do ciasta:

– A cóż ci Anka banany do głowy weszły? Ciesz się, że ja dzisiaj mortadelę na kartki dostałam. Ach się wystąpiłam w kolejce! Ach, aż mi ręce przemarzły!

Naraz matula przycisza głos:

– Co oni tam w telewizji mówią? Anka uderz pięścią tego Rubina, może usłyszemy.

Podchodzę posłusznie i początkowo, z uwagi poszanowanie do tej zdobyczy techniki, mam opory w spełnieniu polecenia rodzicielki.

– No dalej, walnij mocno! – Gani mnie. – Chcę słyszeć, o czym ten Jaruzelski rozprawia.

– Ciii... – kładzie palec na ustach, kiedy generał w dużych okularach wypowiada słowa:

„Niniejszym informuję wszystkich Polaków o ukonstytuowaniu się Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego i wprowadzeniu na mocy dekretu Rady Państwa stanu wojennego na terenie całego kraju”.

– Wojna – jęczę głośno. – Mamusia wojna! – Powtarzam.

Twarz mamy pozostaje jednak nieruchoma, a usta wyginają się w grymasie zadowolenia.

– Pojawiła się iskierka nadziei, że znowu będziemy wolni – szepcze.

– Że co, mamcia? – Moje oczy stają się szerokie ze zdumienia.

– Wolność rodzi się ze śmiałości poczynań, córeczko! – Mama wypowiada słowa, które zrozumieć dopiero po latach.

24 grudnia 1981

– Cicha noc, święta, noc... – śpiewa cichutko tatko, a spod okularów wypływają mu ciurkiem łzy.

Potem wszyscy milczymy. Cisza, jaka między nami panuje staje się niemal fizyczną bolączką. Odruchowo spoglądam na puste krzesło i moje oczy także robią się wilgotne. Jeszcze rok wstecz wujek Kazik huśtał mnie na kolanach i pozwalał odłamać swój opłatek, którego smak uwielbiam.

A potem nagle mój bezpieczny świat zniknął. Wujek jakby zapadł się pod ziemię. Moje usta jakby w obawie przed najgorszym, miały opory przed wypowiedzeniem słów:

– Gdzie on jest?

Aż pewnego dnia, ten Bartek spod jedyńki wykrzyknął mi prosto w twarz:

– Twój wujaszek był wrogiem reżimu. No musiał zginąć. Bo przecież zabito go podczas pacyfikacji strajku.

Mrużę oczy spoglądając na zdobyte cudem lampki na choince i naraz wykrzykuję głośno:

„Wolnością ludzi zawładnie ten, kto zapanuje nad ich sumieniami”.

16 marca 1982

– Miasta zmieniły się w kwadraciki z okien – wykrzykuję spoglądając w okno. – Biją niebieskim blaskiem. Zaraz nadadzą Dziennik – zwracam się w stronę tatka.

Jednak on mnie nie słucha. Wkłada palto i kapelusz, a potem podchodzi do drzwi wyjściowych.

– Tadek, na litość boska, co ty robisz? – Mama łapie go za rękaw.

– A co? Na spacer idę – tata stara się, by jego głos brzmiał zwyczajnie.

Jednak w oczach mamy pojawiają się iskierki złości:

– Wielki bohater narodowy się znalazł. Manifestować mu się chce, że cały Dziennik i jego zawartość ma w nosie.

I patrząc mu prosto w oczy wykrzykuje:

– Czy ty, chociaż trochę o nas pomyślałeś?

– Dorotko – ścisza głos tatko. – Polska to dziś najsmutniejszy kraj samotnych, uciekających od siebie ludzi. A wolność umiera, bo od wielu lat nie jest używana.

Po chwili nastaje cisza, przecięta naraz chrzęstem zamykanych drzwi. Przez szparę od nieszczelnych okien wpada lodowaty podmuch wiatru sygnalizując: WOL-NOŚĆ, WOL-NOŚĆ.

18 kwietnia 1982

– Ocet, znowu ten przeklęty ocet! Z czego ja upiekę tort urodzinowy dla taty? – W oczach mamy widnieje przerażenie i furia.

Naraz znajduję się przy niej i obejmuję, tańcząc z radości:

– A od czego masz swoją zaradną córeczkę?! Zobacz – otwieram kredens i wydobywam z niej kolejno: jajka, herbatę, kakao i cukier. Oczy mamy robią się szerokie z wrażenia:

– Skąd to masz, Anulko? – całuje mnie w policzek.

– Ano Nowakowa dała mi cynk, że w sklepie na Chłodnej rzucili takie rarytasy, to stałam w kolejce... No cztery godziny się wystawiałam. Miałam kartki.

– A kakao? – Dopytuje się mama.

Wbijam nieśmiało wzrok w podłogę i mówię zmieszonym tonem:

– Nabyłam od koników za dolary. No wiesz, od tych, co stoją koło hotelu Luksus. A potem, kupiłam...kupiłam kakao w PEWEX-ie.

Początkowo mama zaciska nerwowo pięści, zaraz jednak podchodzi do mnie i gładzi po głowie:

– Zuch dziewczyna! Zuch! Ja też mam dla ciebie niespodziankę. Wyprułam mój stary sweter i zrobiłam ci z niego czapkę i szalik.

– Naprawdę? – Otwieram buzię ze zdziwienia. – Jesteś wspaniała! Ale... – waham się przez chwilę, po czym mówię stanowczo:

– Szalik oddam Olce spod piątki, tak mi jej żal. Ojca jej wywieźli. No wiesz, za poglądy.

– Ciii...- mama przykłada palec do ust. – Nie wolno mówić nic głośno. Ściany mają uszy...Bezpieka jest wszędzie.

Uśmiecham się jednak szeroko:

– Co mi tam bezpieka! Upieczemy szarlotkę i zaprosimy wszystkich sąsiadów. Podzielimy się z nimi tym, co mamy.

– Brawo, córeczko – klaszcze w obie dłonie mama. – A ja obiecuję, że za twoje szczerozłote serce pozwolę ci bawić się na podwórku aż do wieczorynki.

– Hurrra! – Wołam. – Będziemy robiły fikołki na trzepaku. Czy może być lepsza zabawa?

Mój śmiech wypełnia całe dwa pokoje, jakie zajmujemy w bloku. Czuję się wolna. Wolna jak ptak.

14 maja 1983

– Jak to został pozbawiony wolności i osadzony w więzieniu? – Wykrzykuje mama raz po raz, wycierając łzy.

– Oddziały ZOMO zajęły lokale rządów regionalnych “Solidarności”. Zabrały Władka do więzienia, ale potem ma być internowany – głos tatka drży, wypowiadając te słowa.

– Boże, mój Boże, co to za czasy? Nawet do kościoła pójść człowiek się boi, bo krzywo patrzą – jęczy mama. – Nie ma naszego Władka, nie będzie już śmiechu. To jest prawdziwe więzienie.

Ojciec przez chwilę oddaje się zadumie:

– Nie, Dorotko, śmierć wolności to nie śmiech zakazany, to śmiech obowiązkowy!

14 stycznia 2021

Świat znowu zaszywa się w bieli, jak wtedy, kiedy zaczynałam pisać ten pamiętnik. Wtedy nie rozumiałam słowa „wolność”, teraz też nie do końca go rozumiem. Wolność... Wolność dzisiaj jest tak szeroka, że boję się wypowiedzieć zbyt głośno swoich osądów, żeby nie ograniczyć wolności innej osoby. Wolność... Mogę pracować w krajach Unii Europejskiej, po to, by stać się niewolnikiem pieniędzy. Wolność wyborów, taka, że pomimo uginających się półek w sklepach, nikt nie podaruje nikomu ani złotówki. Wolność... prawo do swojej przestrzeni tak wielka, że już nie zapraszamy sąsiadów na szarlotkę. Chłodna i elegancka restauracja stała się pasującym miejscem. Wolność uczniów tak głęboka, że każdą swoją myśl przedyskutowują z psychologiem. Wolność dziecka tak wielka, że dzieli ją ze swoim smartfonem, zamiast wykrzykiwać jej tchnienie na podwórkowym trzepaku...

Zostałam poproszona o spisanie swoich wspomnień sprzed lat... Opowiedziane zostały one oczami dziecka, czasami przerażonego widokiem czołgów na ulicy, a czasami płaczącego ze szczęścia, dzięki wspólnie jedzonym kolacjom, dzięki noszeniu wydzierganego przez mamę swetra. Tak żyło się nam wtedy, ludziom stanu

wojennego, ludziom pozbawionym wolności... Tylko, czy wolność to prawo decyzji jak chce się żyć czy wolność sumienia? I czy dzisiaj można wykrzyknąć:

– Jestem wolna!?

Wolność...wolność...

Być może raczej miała moja świętej pamięci babcia, twierdząc, że idealne szczęście czeka na nas dopiero w niebie, u Boga? Że tylko tam będziemy w całej pełni szczęśliwi. I wolni... Wolni jak ptaki...

Katarzyna Karaś (Brzoza), kl. 8
Szkoła Podstawowa nr 33 w Krakowie

Nie daj się zabić

1 września

Dziś jest mój pierwszy dzień w liceum i bardzo się ekscytuję. Myślę, że jest to pewnego rodzaju przejście w dorosłość. Coś, co pomoże mi się usamodzielnąć. W dodatku nie idę do „jakiegoś tam” liceum, idę do jednego z najlepszych liceów w moim mieście! Gdy tylko mówię komuś, do jakiej szkoły się wybieram, widzę w jego oczach podziw. Moją rodzinę rozpira dumą i chwalą się mną wszystkim swoim znajomym. Ja również jestem dumna. Cieszę się, że mi się udało.

W ogóle ostatnie pół roku było dla mnie bardzo udane. Egzaminami poszły mi świetnie, miałam świadectwo z paskiem, a do tego wygrałam kilka konkursów. Nie, żeby było to odstępstwo od normy, zawsze byłam najlepsza w klasie, ale ostatni czas przysłużył mi się jeszcze bardziej niż zwykle.

Dziś jest 1 września – rozpoczęcie roku szkolnego. W nocy nie mogłam spać i przygotowania zaczęłam już o 6:00 rano. Założyłam galowy strój i upięłam włosy najładniej, jak umiałam. Wszystko musiało być idealnie.

– Nie daj się zabić! – powiedziała żartobliwie moja mama, gdy już wychodziłam z domu.

Oj, nie zamierzałam dać się zabić. Będę taka jak zwykle, czyli najlepsza. Śmierć jest dla tych, którzy nie umieją lub nie są zbyt silni, by sobie poradzić w szkole. Ja do nich nie należę, oj nie.

20 minut przed rozpoczęciem akademii stanęłam po raz pierwszy przed drzwiami mojej nowej szkoły. Kojarzyły mi się z wejściem do jakiegoś nowego, dotąd nieznanego mi świata. Pomyślałam, jak bardzo jest to dalekie od mojej dotychczasowej osiedłówki.

Później przyszedł czas na poznanie mojej wychowawczynie i, oczywiście, klasy. Miałam nadzieję, że moja nowa klasa będzie bardziej rozumna niż poprzednia, w której prawie nikt nie był w stanie zapamiętać najprostszych wyrażeń. Podczas spotkania nauczycielka podkreślała, że szkoła jest renomowana i że czeka nas masa nauki. Zdawałam sobie z tego sprawę, ale byłam pewna, że dam radę. W końcu jak nie ja, to kto!

Jestem gotowa na nowe wyzwanie.

8 września

Chodzę do liceum już tydzień i muszę przyznać, że wychowawczynie nie była gołosłowna. Faktycznie, mamy masę nauki. Na „dzień dobry” wszyscy nauczyciele zrobili nam testy, mające sprawdzić naszą wiedzę z podstawówki. Nie poszły mi one najlepiej, ale to przez to, że była tam masa materiału, którego ze mną żaden poprzedni nauczyciel nie przerobił. Zaczynam rozumieć, że może być trochę ciężiej, niż myślałam.

Na matematyce również robimy dużo bardziej skomplikowane rzeczy niż w poprzedniej szkole. Na dodatek matematyczka powiedziała nam, że zaległości musimy nadrabiać we własnym zakresie. Niektóre zadania są dla mnie niezrozumiałe. Musiałam podpatrzeć, jak moja koleżanka je rozwiązuje, by móc w ogóle zacząć pracować, ale i tak wydawały mi się trochę niejasne.

W ogóle osoby z klasy są bardzo ambitne i umieją więcej ode mnie. Ale mimo wszystko jestem pewna, że szybko to nadrobię i wszystko się uda. Jak zawsze.

23 października

Minęły już 2 miesiące szkoły i... jest ciężko. Nauczyciele nie odpuszczają, a ja w ogóle nie mogę się skupić. Nie idzie mi najlepiej, dostaję same tróje. Mam nadzieję, że to przejściowe. Nie wiem... Może to kwestia aklimatyzacji? Nieważne. Najwyraźniej staram się za mało. Tak, postaram się bardziej, a wtedy na pewno wszystko wróci do normy.

Tak czy siak, cieszę się, że nikt, poza mną, nie wie o mojej obecnej sytuacji. Może nie jestem bardzo dobra, ale, póki co, klasa może myśleć, że jestem. Przecież nie muszę im mówić prawdy o moich ocenach. Tak, nawet jeśli jestem najgorsza, to przynajmniej będę udawać, że jestem lepsza. Reputacja to też ważna sprawa. Będę tak funkcjonować, póki nie nabiorę sił i nie pokażę im, ile naprawdę jestem warta.

W dodatku nieustannie zawracają mi głowę moje koleżanki z poprzedniej szkoły. Staram się utrzymywać z nimi kontakt, ale nie mam na to czasu. Nie to jest teraz dla mnie najważniejsze. Nawet nie mam kiedy robić wpisów do notatnika.

Muszę się teraz bardzo starać i całą swoją uwagę skupić na szkole.

15 grudnia

Mam dość. Dzisiaj był chyba najgorszy dzień mojego życia. Zostałam wywołana do tablicy na matematyce. Już sam ten fakt był dużym przeżyciem, ale pomyślałam, że zachowam zimną krew. W końcu wczoraj uczyłam się do późna (przez co, swoją drogą, zasnąłam w autobusie i spóźniłam się do szkoły). Podeszłam do tablicy, a matematyczka dała mi zadanie. Liczby rozmazywały mi się przed oczami i tylko na wpół kontrolowałam, co robię. Próbowałam rozwiązać równanie, ale już po chwili się pomyliłam. I to w czym? W DODAWANIU, W GŁUPIM DODAWANIU.

– Dziecko w wieku licealnym nie umie dodawać, ciekawostka – powiedziała z przekąsem nauczycielka. – Jeszcze raz zrobisz taki błąd i dostaniesz jedynkę.

W tym momencie uderzyła we mnie fala stresu. Z głowy wyleciało mi wszystko, czego nauczyłam się wczoraj. Przestałam jasno my-

śleć i wszystko wirowało mi przed oczami. Stałam, nie mogąc się poruszyć.

– Siadaj. Pała – powiedziała po dłuższej chwili matematyczka. – Niech to zadanie rozwiąże ktoś, kto ma rozum.

Klasa wybuchnęła śmiechem. Czułam na sobie ich wzrok. Miałam wrażenie, że się we mnie wbija głębiej i głębiej, że przebija mnie na wylot. Osaczyli mnie. Śmiech uczniów zmienił się w szum, a ja nie mogłam zrozumieć, co się właściwie dzieje.

Dostałam jedynkę?... JA?... Zawsze gardziłam tymi wszystkimi, którzy nie potrafili robić zadań przy tablicy, a dzisiaj znalazłam się w takiej samej sytuacji. Jakbym nagle z drapieżnika stała się ofiarą. To było uczucie, którego nigdy wcześniej nie doświadczyłam. Moja zasłona dymna opadła. Wszyscy zobaczyli, jak mi idzie naprawdę.

Nie wiem, co teraz mam robić. Chcę płakać i krzyczeć. Czuję, że wszyscy chcą mnie dobić. Mam w sobie takie pokłady frustracji, że nie umiem nawet tego wyrazić. Nie mam nawet czasu się nad tym zastanawiać, bo na jutro jest 10 nowych zadań z matematyki. Pierwszy raz w życiu czuję się bezsilna, tak bardzo bezsilna! Dalsza walka będzie bardzo trudna. Próbują mi odebrać jedyną rzecz, która nadaje mi wartość – moje oceny. Ale ja nie umrę, nie mogę umrzeć. PRZYSIĘGAM, ŻE NIE DAM SIĘ ZABIĆ.

1 stycznia

Dziś jest Nowy Rok, ale nie mam siły na świętowanie. Czuję, że wszystko mi się sypie. Moja mama była przed świętami w szkole u wychowawczynie. Trochę podsłuchiwałam, co nauczycielka mówi jej na temat mojej klasy. Powiedziała, że nie mam znajomych wśród uczniów i że nikt mnie nie lubi. Nie przejęłam się tym. Mam gdzieś kontakty rówieśnicze. Cieszę się tylko, że wychowawczynie nie powiedziała mojej mamie, że uczę się gorzej niż większość klasy.

Natomiast moją mamę, z jakiegoś powodu, rozmowa przejęła aż do tego stopnia, że postanowiła wysłać mnie do psychologa. Spotkanie mam w przyszły czwartek, ale szczerze, wolałabym tam

nie iść. To mi tylko zabierze czas, a ja i tak mam go bardzo mało. Zresztą myślę, że mama nie powinna się martwić moimi znajomościami.

Moje stare koleżanki ciągle nie przestają do mnie pisać, chociaż od dłuższego czasu już im nie odpisuję. Szczerze? Nie rozumiem ich. Czy one mają tak dużo czasu, żeby cały czas ze sobą gadać? Chociaż, w sumie, to jest właśnie powód, dla którego nigdy nie były najlepsze w nauce – poświęcały zbyt dużo czasu na zabawę.

8 lutego

Ach... nawet nie wiem, jak zacząć. Sytuacja się tylko pogarsza. Materiał wchodzi mi coraz gorzej. W ogóle nie mogę się skupić, a nauki jest tylko więcej i więcej. Nie mam siły się ubierać, kąpać, czesać, a nawet jeść. Nie poznaję siebie. Przecież kiedyś wystarczyło mi przeczytanie tekstu raz i mogłam go zacytować, a teraz trudność sprawia mi nawet nauka kilku angielskich słówek. Strasznie spadła mi samoocena i cały mój świat się wali.

Jest mi też trochę wstyd, że w czasach „mojej świetności” z takim brakiem szacunku traktowałam osoby, które się gorzej uczyły. Teraz, gdy znalazłam się na ich miejscu, widzę, jakie to uciążliwe – ktoś się stara i nic mu z tego nie wychodzi.

Pozostaje mi tylko nadzieja, że jeszcze kiedyś będzie lepiej.

10 kwietnia

Jestem wrakiem człowieka.

Dzisiaj, jak zwykle, wyczołgałam się ze szkoły i pomyślałam, że mam dość. Chciałam iść do domu, ale nogi odmawiały mi posłuszeństwa, więc, zamiast tego, usiadłam na pobliskim murku. Patrzyłam, jak młodzież w różnym wieku wychodzi ze szkoły i rozchodzi się, każdy w swoją stronę. Siedziałam tak dłuższy czas, a tłum wychodzący ze szkoły zaczął się przeredzać.

W pewnym momencie, kiedy już miałam podjąć próbę podniesienia się i pójścia w stronę domu, mój telefon zawibrował. Stwierdziłam, że skoro i tak siedzę, to sprawdzę, kto to. Wyjęłam telefon i moim oczom ukazała się wiadomość od dawnej koleżanki.

To było zdjęcie. Zdjęcie, na którym znajdowała się ona i dwie inne dziewczyny z naszej poprzedniej klasy na placu zabaw. Wszystkie się uśmiechały. Widok ten wywołał u mnie ambiwalentne uczucia. Z jednej strony wydawał mi się bardzo odległy, jakby niedostępny. Z drugiej strony, patrząc na niego, czułam ich bliskość, ciepło. W tym momencie, chyba nieświadomie, zaczęłam przeglądać inne zdjęcia, które przez cały rok wysyłały mi koleżanki. Wszystkie były radosne i pełne życia. Tu harcerska zbiórka, tam świąteczny kiermasz, kino, narty, urodziny. Wtedy uświadomiłam sobie, że od bardzo dawna nie czułam się szczęśliwa.

Zaczęłam płakać. Nie, zaczęłam ryczeć, jak małe dziecko. Zaczęło do mnie docierać, jak bardzo zmarnowałam te miesiące. Żadna z tych dziewczyn nie chodziła do super-szkoły, nie miała najwyższych stopni, a mimo to były szczęśliwe. Dużo szczęśliwsze ode mnie. Więc kto był wygrany, a kto przegrany? Zdałam sobie sprawę z tego, co się stało! Tak bardzo zależało mi na ocenach, że przestałam się skupiać na życiu. Dałam się zabić...

23 maja

Staram się przewartościować i szukam swojej drogi od początku. Umówiłam się z moimi koleżankami ze starej klasy i od tej pory spotykamy się regularnie. O dziwo, nauka również zaczęła mi iść lepiej, choć nie poświęcam jej tyle uwagi, co kiedyś. Co prawda, nie jestem najlepsza, ale nie przeszkadza mi to. Myślę, że teraz będzie już tylko coraz lepiej.

Słoń w spódniczce

– Och, dalej tego nie rozumiem! – jęczałam już trzecią godzinę nad podręcznikiem do matematyki. Zwyczajnie nie trawię tego przedmiotu. – Dobra, Kaśka, jeszcze raz, powoli... Jeśli podstawą tego trójkąta jest średnica koła... Co? Po jakiemu to jest napisane? – mamrotałam sama do siebie.

Robiło się naprawdę późno, a ja nie chciałam nie zdać tej kartkówki.

– Achhh, nic z tego! – westchnęłam po następnych dziesięciu minutach. Z obrzydzeniem popatrzyłam na zadanie i zamknęłam podręcznik. Poszłam do kuchni, żeby coś zjeść, mimo że było już po dwudziestej drugiej. Gdyby rodzice byli w domu, pewnie by mnie upomnieli, ale jak zwykle pracowali do nocy. Nie powinnam jeść o tak późnej godzinie, ale jestem jedyną, która się tym nie przejmuje. Nigdy nie byłam urodziwa, a tłusta kolacja o tej porze raczej mi nie pomoże na cerę czy w zgubieniu kilogramów.

Gdy byłam młodsza, wszyscy przezywali mnie „Velma”. To ta niezbyt ładna dziewczyna z bajki „Scooby Doo”. Jestem niska, pulchna, mam lekko falowane, brązowe włosy do ramion i noszę duże grube czarne okulary, a do tego ten trądzik... Żeby było zabawniej, uwielbiam duże swetry i długie spódnice, wyglądam jak mniejsza wersja mojej babci. Cóż, mogłabym coś zmienić, gdybym chciała, ale pogodziłam się z myślą, że nigdy nie zostanę królową balu, po prostu nie zostałam do tego stworzona. Żeby było jasne, lubię mój wygląd, jest po prostu unikalny... Jak rzadki kwiat! Albo nowo odkryty grzyb! To może jednak złe porównanie.

Nie jestem też jakoś szczególnie nie lubiana. Trochę cudaczna, z głową w chmurach, dziwnymi zainteresowaniami, ale na pewno nie gnębiona! Choć z pewnością nie popularna... Ach, popularność. Zawsze myślałam że to zjawisko występuje tylko w filmach

i książkach. Popularne dziewczyny zawsze były diabelnie piękne, jeszcze bardziej złośliwe i głupie, ale przede wszystkim zmyślone. Myślałam tak, dopóki w liceum nie poznałam Uli. Ula jest piękna, wysoka, z prostymi blond włosami i niebieskimi oczami, ideał każdego. Jest bardzo lubiana, popularna, i – uwaga! To może być szok! – jest inteligentna i miła. ŁADNA, POPULARNA DZIEWCZYNA JEST INTELIGENTA I MIŁA?! Widać filmy nie zawsze pokazują prawdę.

Jedząc kolację, rysowałam w zeszycie od matematyki. Niby miałam zamiar powtórzyć materiał, ale padło na słońca w spódnicy. Biorąc kolejny kęs kurczaka, usłyszałam przekręcanie klucza w zamku. Nie było czasu, żeby się schować.

– Katarzyno! Co robisz w kuchni o tak późnej porze?! – Wpadła matka z oskarżycielskim tonem.

– Mufuphufufuthuphu... – próbowałam się tłumaczyć, z ustami pełnymi kurczaka.

– Na litość boską, dziecko, po nocach jesz? Trzynastolatka... – po tych słowach moja matka zamyśliła się i spojrzała na mnie pytająco. Wtedy wszedł mój tata i cicho szepnął: „szesnastolatka”.

– Ach, tak! Szesnastolatka, jak ty, powinna spać, jutro szkoła! – Szybko chwyciłam jeszcze jedno udko kurczaka w rękę i wbiegłam po schodach na piętro.

Rano ubrałam się w mój ulubiony duży sweter w fioletowo-zielone paski i długą fioletową spódnicy. Może i wyglądałam jak emerytka, ale było w tym coś uroczonego.

– Hej, babciu, zgubiłaś się? – usłyszałam pierwszy komentarz jakiegoś chłopaka z klasy wyżej, kiedy tylko dotarłam do szkoły.

Wszyscy mają jakieś parcie na wygląd i ubrania oraz masę wymagań czy kompleksów. Jasne, nie każdy może wyglądać jak Ula, ale to nie jest powód, by się smucić. Najważniejsze to zaakceptowanie siebie, a nie dążenie do ideału, bo go nie ma, zawsze będzie się niewystarczającym według kogoś... Wow! Kaśka, to było głębokie! Powinnam to gdzieś zapisać. Weszłam do klasy (oczywiście spóźniona) i niezgrabnie pobiegłam do ławki z tyłu. Zaczynała się lekcja języka polskiego, mimo to otworzyłam zeszyt do matematyki na

stronie, na której wczoraj rysowałam słonia. Róg kartki był nieco ubrudzony tłuszczem z kurczaka. Obok słonia napisałam zdanie: „Nie warto dążyć do ideału, bo go nie ma. Zawsze będzie się dla kogoś niewystarczającym, po prostu trzeba zaakceptować siebie.” Genialne. Może porzucę marzenie o byciu najlepszą ogrodniczką na świecie i zostanę drugim Adamem Mickiewiczem?

Z zamyślenia wyrwał mnie podniesiony głos nauczycielki, która uderzyła pięścią w moją ławkę.

– Kasia! Możesz mi powiedzieć czym się zajmujesz? – Starsza kobieta ze złością patrzyła mi w oczy.

– Układałam sentencje życiowe, pani profesor. – Odpowiedziałam bez mrugnięcia okiem.

Już w trakcie moich słów wiedziałam, że pytanie tej kobiety było retoryczne, ale spanikowałam.

– Czy to słoń? – spojrzała w mój zeszyt.

– To słoń w spódniczce baletnicy. – Poprawiłam ją. Po co ja jej nadal odpowiadam?! Kaśka, opamiętaj się!

– Dlaczego ten słoń... nosi spódniczkę? – parsknęła kobieta.

Zdziwiła mnie tym, ponieważ pani Bażant nigdy się nie śmiała. Zawsze była bardzo surową kobietą. Wysoka, bardzo chuda, nosiła długie suknie oraz szpiczaste okulary na łańcuszku z białych perełek. Jej palce były jak u kościotrupa, a włosy siwe i spięte w wysoki kok. Na lekcjach była krzykliwa, oschła i mimo że Kocham lekcje języka polskiego, to z nią nie czerpałam z nich większej przyjemności.

– Ten słoń nosi spódniczkę, ponieważ nie wstydzi się tego, kim jest. – Powiedziałam pewnie.

– Słucham? – odpowiedziała z lekkim uśmiechem rozbawienia nauczycielka, a po klasie rozbrzmiał chichot uczniów.

– Tak, inne słonie pewnie powtarzały mu, że wygląda głupio... Ale on lubi siebie w tej spódniczce i nie przejmuje się opinią innych. Nauczycielka zamyśliła się na chwilę.

– Czy ten słoń jest samotny? – nie sądziłam że wda się ze mną w dalszą rozmowę.

– Nie wiem, pani profesor. Ale myślę, że jest szczęśliwy, bo akceptuje siebie. Pewnie otacza się innymi słoniami w ubraniach, na przykład w kapeluszach! Bo one też nie boją się być sobą i nie przejmują opinii innych, więc go nie oceniają.

Pani Bażant chyba zaczynała rozumieć znaczenie słonia w spódnicy.

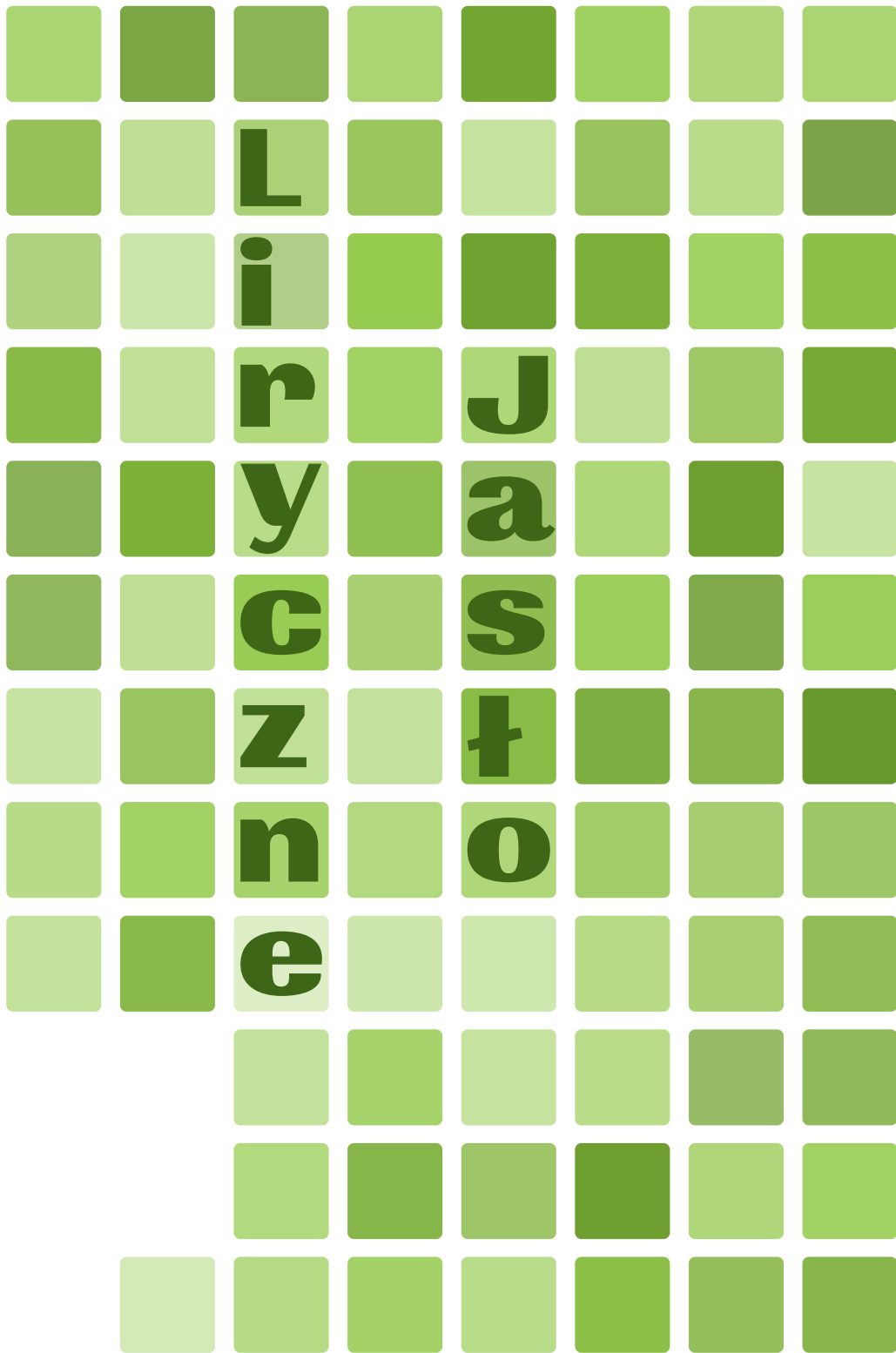
– Twierdzisz więc, że wszystkie słonie powinny nosić ubrania i nie bać się, że koledzy je wyśmieją? Że powinny być sobą i nie myśleć o wyglądzie? Po prostu zaakceptować siebie i to jakimi są?

– Co też pani wygaduje? To tylko słoń w spódnicy – zażartowałam, a nauczycielka zaniósł się śmiechem. Odchodząc od mojej ławki, powiedziała:

– W normalnym wypadku, dałabym ci uwagę, Kasiu. Jednak twój słoń cię ochronił, gada z sensem. Wypożyczę go do następnego tematu lekcji, jeśli się zgodzisz. To bardzo mądry słoń.

– Słoń w spódnicy – poprawiłam panią Bażant.

– Oczywiście. Słoń w spódnicy.



Kategoria III

Szkoły ponadpodstawowe

Wiersze

1 miejsce

103 Joanna Czubernat: *Symfonia Tatr*

2 miejsce

104 Jakub Borys: *Łąka kwiatów nocy*

3 miejsce

105 Anna Wiktoria Biliczak: *Jestem obserwatorem*

Wyróżnienia

105 Julia Kowalczyk: *Serce w przeręblu*

106 Jakub Miklus: *Posucha*

107 Julia Nguyen Van: *Leć!*

108 Zuzanna Banach-Dziura: *Człowiekowi z lustra*

Opowiadania

109 Jakub Krok: *Pająk*

112 Weronika Łopacka: *Łazarz*

115 Sebastian Suchecki: *Kongregacja cieni*

Wyróżnienia

122 Hanna Gołąb: *Nasz czerwony samochód*

125 Emilia Malinowska: *Zrękowiny*

130 Kajetan Struski: *Nie boli a powinno*

Joanna Czubernat (Batat), kl. 3
I Liceum Ogólnokształcące w Nowym Targu

Symfonia Tatr

Metrum twojego chodu,
tempo bicia serca,
tonacja duszy.

Dzięcioł kłania się
i rozpoczyna pochodem grup szesnastkowych.
Ostre wibracje orzechówki
z głuchym trylem ćwierćnut głuszca
mijają się z rytmem punktowanym
nocnej rosy skapującej na skały.
Po repetycji gra grupa świstaków i saren.
Ssaczy temat pomieszał się z
ptasim poprzednikiem
i potężnym wejściem Siklawicy w następniku.
W kolejnym takcie wchodzi duet
jelenia i drozda, mezzopiano.

Nagły fortissimo ryk niedźwiedzia transponuje
na molową solówkę orła
z towarzyszeniem zająca.
Huk burzy przysłonił
łagodny motyw słoneczny.
Glissanda kuny i wilka dodają dreszczy,
szum lasu zagłusza wszystkie głosy.

Diminuendo, ritenuto, pauza z fermatą.
Puchacz kończy czterema półnutami.
Kozica składa batutę.

Tatry okryte muzyczną pierzynką
zasnęły...do jutrzejszego koncertu.

Jakub Borys (Xawery), kl. 3
I Liceum Ogólnokształcące w Jarosławiu

Łąka kwiatów nocy

popatrz na punkty błyszczące
usłane kwiatami przestworza
czytaj z nich kształty mych myśli
i nicość płynącą w mdłych słowach

zanurz się w toni wszechświata
z rozlanych materii kolorem
lśniąca barwami ziemskimi
od krwistej czerwieni – po fiolet

smakuj nieśpiesznie mą duszę
przez kształt włosów, po serce
dopóki dźwięki nie zgasną
i gestem wypełni się przestrzeń

obudź się w czułych ramionach
poranku, co przedświt scala
dowiedz się, czy jeszcze trwa spokój
czy właśnie zaczęła się jawa

Anna Wiktorja Biliczak (WiBi), kl. 2
Spółeczne Językowe Liceum Ogólnokształcące
w Opolu

Jestem obserwatorem

Jestem obserwatorem
To ja patrzę z boku
Gdy się uśmiechasz
Wracasz do domu
Ze zmęczeniem odkładasz zakupy
Zmartwień nie odkładasz
Nosisz je w sercu jak w kieszeni
Widzę to w oczach
Obserwuję
Nie oceniam
Jestem obserwatorem

Julia Kowalczyk (Julia), kl. 2
VI Liceum Ogólnokształcące w Kielcach

Serce w przeręblu

ku pamięci Jana Lityńskiego

i żebyście dzieci swoje
tak chowali
żeby nie ginęły od kul
ani z nożem w plecach
ani z wężem w kieszeni
ani od trutki w słodkiej herbacie
ani zduszone gazem
ani zapalowane
ani w biegu
tyłem do słońca

a żebyście dzieci swoje
tak chowali
żeby – nawet i za psa –
żeby za jednego niewinnego

Jakub Miklus (Kuba M.), kl. 1
Samorządowe Liceum Ogólnokształcące
w Stalowej Woli

Posucha

W starych uliczkach wiersza
zgubiłem natchnienie
Poszły na pogaduchy?

Z sennej pościeli wynurzają się
rozespane strofy
Dotykają kolorem
smutku
Dręczą dysharmonią
Ożeniony z ciszą
słyszę westchnienie Weny
Na swym grzbiecie niesie
nowosłowa
szepty liści
i płacz wiatru
Nowonarodzone strofy pachną
barwą lata

Wtulam się w ciepło poezji

Julia Nguyen Van (Ranna Cebula), kl. 2
I Liceum Ogólnokształcące w Jaśle

Leć!

„Leć!”

leć, gołębiu, rozłóż swe skrzydła i szybuj ponad drzewami
w dal ↑

nie pozwól, by dłonie czasu zmieniły bieg wiatru

wyjdź → , wyleć mu naprzeciw, jak torpeda,
celuj
↓
X

spadając
zmieniasz się
w sokoła

rozsypujesz jego królestwo j a k

podmuch e
m d m
o e
k z
k
a
r
t

Zuzanna Banach-Dziura (Banachówka), kl. 3
I Liceum Ogólnokształcące w Jaśle

Człowiekowi z lustra

gnij bez słowa

ryj się schowa

ryj przebaczy

ryj przepuści

gnilnyś

ziemię ubogacisz

ziemię ostrą nieprzejrystą

żryj przepadnij schowaj ryj

gnijąc płodną swą zgnilizną

czysteś ścierwo

gnij

Pająk

Z terażniejszej perspektywy krawędź nie zdaje się być ostra. Gładko przechodzi z poziomu do pionu. Przybiera kształt łuku. Możliwe, że to dlatego jej nie spostrzega. Od gładkiej tafli odbijają się refleksy światła. Mleczno-biała przestrzeń przybiera postać matowiejącego lustra. Jest ślisko, tak ślisko, że nawet jego lepkie nóżki nie pozwalają czuć się pewnie.

Moment spadania nie stanowi przykrego doświadczenia. Przypomina spływ spadzistą, ostrą zjeżdżalnią, który pomimo swojej ekstremalności pozostawia niedosyt, zamiast niesmaku. W pierwszych chwilach nie rozumie swojego położenia, nie rozumie, iż to nie on znalazł się w niebezpieczeństwie, ale to niebezpieczeństwo po raz pierwszy znalazło się w nim. Czuje jak niepokój powoli wdziera się do jego świadomości. Jak gaśnie intuicja zmiażdżona przez strach. Jasna, niewzburzona tafla otacza go ze wszystkich stron. Staje się podłożem i ścianami, zaokrągla się, przekształca, żeby go osaczyć. Wiedzie wzrokiem dokoła, lecz ta sama masa otacza go ze wszystkich stron. Podbiega do czegoś co wydaje się ścianą. Nóżki trzęsą się nerwowo. To tędy spływał jeszcze przed momentem. To tutaj zjeżdżał czując względną radość. Beztróskę. Teraz stawia kroki, wspina się pod kątem, usiłuje wydostać się z oków podłoża. Bezskuteczność miesza się z bezsilnością, gdy osuwa się powoli i powraca do punktu wyjścia. Podejmuje kolejną nieudaną próbę. W niemej histerii uzmysławia sobie niedorzeczność swoich bezcelowych wysiłków.

Białe ściany przeobrażają się w klatkę. W jasne więzienie, którego malowniczy krajobraz buduje pustka. W tęsknocie do szorstkości, do nieperfekcyjnych kształtów, zarysowuje się jego mizerniejący byt. W samotności popada w narastającą rozpacz. Bezsilność spłata się z beznadzieją rodząc utratę wiary.

Zastanawia się jak mogło do tego dojść. Którędy przyszedł? Jak znalazł się na tej wątlej, niewyraźnej krawędzi? Nie pamięta. Wydarzenia ostatnich godzin i dni rozsypują się zmieszane w kadzi nijakości. W kotle podobnym do tego, na którego dnie tkwi bez wyjścia. Czy istnieje szansa? Jakakolwiek możliwość ucieczki?

Światło wygasa wokół i powoli zamiera na lustrzanie usposobionych ścianach bez szansy na rezurekcję. Ciemność, która zawsze przynosiła wyzwolenie teraz przeradza się w uciążliwą klątwę pogłębiając brak rozwiązań. Cienie płyną powoli po ścianach niezgrabnie formując się w różnej maści struktury. Myśli o tym, czy sam stanie się cieniem. Czy przyjdzie mu kiedyś odbywać podróże po bezmiarze świata. Tułaczki między jeziorami, górami i połączonymi pól. Pragnąłby tego za każdą cenę. Za cenę swojego życia. Pragnąłby jakiejkolwiek alternatywy. Każdej szansy, która da mu realną perspektywę wyzwolenia.

Zapewne zachodzi słońce. Ten moment, w którym zwykł budzić się do życia blaknie teraz pogłębiając żal. Wyobcowanie w głuchej, nienaturalnej przestrzeni. Sztuczność mlecznych zwierciadeł przygniata go swoim dojmującym bezsenssem. Instynkt nakazuje mu podejmowanie kolejnych prób, z których żadna nie ma stać się ostatnią. Nie słucha podpowiedzi rozumu godzącego się z prawdą. Zbywanie sugestii łudzi go i ściąga w stronę wiary. Ponownie mierzy się z bezkresem śliskiej ściany. Przykłada nóżki do martwej powierzchni. Do powierzchni, która nigdy nie była żywa.

Czy postępuje słusznie wzmagając swoją marność?

Dokoła zapada mrok. Gęsta, smolista materia odbiera mu ostatnią nadzieję. Ostatnie spojrzenie na odległą rzeczywistość, która zniknęła ponad nim.

Co to? Wszędzie wybuchają fontanny światła. Żywe płomienie zalewają okolicę oślepiając go na krótki moment. Co się dzieje? Lampy prażą, w mechaniczny sposób przywracając wcześniejszy stan rzeczy. Kurczowo wbiega na ścianę, po której zsuwa się raz, drugi, trzeci. Niedaleko słyszy głośnie, dudniące kroki. Coś rusza się w górze. Na moment przysłania światło. Podnosi wzrok i widzi twarz człowieka. Jej lepiące się, wilgotne usta. Wytrzeszczone,

przekrwione oczy. Żyłę, która wystąpiła na czoło i naprężona nie ustępuje. Z rozwierających się ust dobywa się pisk. Człowiek odskakuje i wybiega.

W następnych chwilach nic się nie zmienia. Światło nie chwieje się utrzymywane mocą prądu. W końcu posłyszawszy większe nagromadzenie kroków podnosi wzrok i z przerażeniem przypatruje się trzem parom wlepionych w niego ludzkich oczu. Spragnionych, wygłodniałych, okrutnych. Wertujących go z przestachem, który miesza się z satysfakcją. Chciałby, żeby wyszli. Zostawili go w ciemnościach, w których w samotności dotrwałby do końca pogodzony ze swoim losem.

W ręku jednego z nich dostrzega pobłyskujący, srebrzysty przedmiot. Zapada cisza, po której następuje powódź. W jasną taflę uderza niepohamowany strumień wody. Fala przygniata go spływając po mlecznych ścianach, zwała z nóg. Przytapia. W jednej chwili staje się zwiniętą w bezwładzie kulą. Małym kłębkim prowadzonym bezwiednie ku dziurze, do której obawiał się podejść. Walcząc o powietrze próbuje się wyswobodzić. Przed oczami błyskają mu szerokie ludzkie uśmiechy. Rozradowane twarze. Tak bezwstydne w szczęściu zrodzonym jego śmiercią.

Czym na to zasłużył? Czy to kara? Czy to jego wina? Czy powinien płacić za tę łukowatą krawędź? Za jej niewyraźność? Czy każdy człowiek jest jego sędzią? Co to za trybunał, który skazuje na śmierć za nieuwagę?

Białe powierzchnie ustępują miejsca zgniłej, wąskiej rurze, którą spada do śmierzdzących odmętów kanału. Do tego co ludzkie, czego człowiek się wyrzeka. Gdzie w resztkach upadającej świadomości jego członki skleją się ze sobą, żeby bez kontroli nad ciałem przebył swą ostatnią tułaczkę. Kaźń, na której drogę sprowadziła go nieuwaga. I już wie, że nie będzie cieniem. Że nie zobaczy jezior, gór i połaci pól. Że nie zazna harmonii ani spokoju. Że jego rozwodnione szczątki pożrą istoty, o których bał się nawet myśleć. Po raz ostatni bierze wdech i czuje, jak do niego podchodzi.

Weronika Łopacka (Wera), kl. 3
Liceum Ogólnokształcące
w Międzyrzecu Podlaskim

Łazarz

Na początku było słowo, tłuste, lepkie, ociekające wstrętem i litością, zakrapiane nieswieżym oddechem, powtarzane przez sznur przypadkowych warg. Żydek, Żydek, Żydek, Żydek, Żydek. Każdy adresat kolejno zmieniał się w nadawcę, powielając ten sam schemat. Ostatnim byłeś Ty. Zaadresowali do Ciebie wiadomość zakłęta w jednym słowie i jednym ciele. W nim.

Przedostatnim nadawcą jego istnienia był jeden z dobrze znanych ci więźniów politycznych, któremu notorycznie przynosiłeś kawałek kiełbasy, leki, czy ciepłe łachy na zimę. Tamtego dnia, ogrzewany od środka innym ciałem, przywiązany szczelnie do własnego korpusu, podwinął spadający pasiak i odsłonił źródło gorąca, które parzyło go przez całą drogę prowadzącą do nowo murowanych budynków z cegły.

Poczułeś, jak żar emanujący spod warstw cudzych szmat, gdzie spotyka się skóra ze skórą, zalewa Ci trzewia i stopniowo poraża kończyny. Zastygłeś w swoim zdezorientowaniu, wpatrując się w ludzkie zawiniątko i jego dostarczyciela, jakby byli jednością, rosyjską matrioszką, a z ich gardzieli miałyby wyskoczyć proporcjonalne do całości żydowskie bachory.

Żydek, wymamrotał po chwili i zajął się rozsypywaniem całej konstrukcji. Kazali go wynieść za druty, dodał. Nieumiejętnie ułożył dzieciaka we własnych ramionach, po czym wetknął Ci go w zwiotczałe otępieniem dłoń. Wskazał na rozwartą do połowy torbę, w której trzymałeś narzędzia do murarki baraków i ruchem ręki polecił włożyć go do środka. Spojrzałeś na niego ułomnym wzrokiem, który powlekał twoje oczodoły w chwilach ogłupienia, choć przecież nie byłeś kaleką. Nie mogłeś nią być, skoro w ułamek sekundy spakowałeś politycznego podrzutka na dno roboczej torby, maskując jego obecność nienagannie poukładanymi

narzędziami i zabrałaś do domu przy rynku. Dom jednak niespecjalnie ucieszył się na wieść o obozowej niespodziance, którą wyjąłeś na kuchennym stole w obecności czworga dzieci i pobludłej pani domu, która natychmiast kazała Ci ją schować, a dzieci pogoniła na górę. Z biegiem czasu co raz częściej kręciła się obok głębi, z której dochodziło ciche kwilenie, czasem uchyliła obszycie materiału, innym razem przestawiła zalegający worek w inny kąt, aż wreszcie zetknęła ze sobą dwie powłoki skórne. Podniosła niemowlę na wysokość wzroku, tak jak robiła to cztery, poprzednie razy i przepadła. Zdziczały od wieków instynkt rozsączył się po całym, pomarszczonym ciełe, nadając mu nowy wymiar. Zostało żydowską mamką. Wkrótce po tym z nabrzmiałych piersi zaczęła wypływać rozrzedzona strawa, choć od urodzenia ostatniego dziecka minęły już dwa lata. To tak, jakby ciało samo zadecydowało o przygarnięciu do swojego łona mojżeszowej sieroty, wchłonięciu jej do macicy i ponownym urodzeniu, tak aby materiał genetyczny wypłukał się z wrodzonego żydostwa. Wody płodowe obmyły go ze wszelkiego skażenia, którego biedaczek nabawił się przy pierwszym porodzie, dotykając szczelin cielesnych jam. Nazwano go Łazarz, ten który zmartwychwstał, aby uczcić dzień odrodzenia chłopca z pożydowskich popiołów i zagrzebania ich głęboko w jego niemowlęcej nieświadomości. Odtąd był jedynie trumną wypełnioną zakłamaniami, której system upływu czasu opierał się na cyklu powstawania kolejnych śladów pierwotnej tożsamości. Rysy twarzy obierały semickie kontury, nos przyjmował radykalnie haczykowaty kształt, ciało zaczęło manifestować swoje pochodzenie. *Żydowieje*, pomyślała matka i pobiegła po znachorkę, aby wypędziła z dziecka urok zaległego czarta. Zielarka rozłożyła ręce, bo kwestie wyglądu nie leżały w jej kompetencjach, a jeśli ktoś za bardzo przypominał Żydka, piec szybko się o niego upominał. Popatrzyła, skrzywiła się i poleciała powiązać, co się da, a resztę połamać. Trzymali go całą rodziną, bo choć mały to siły miał za trzech, za czterech. Wyrwał się, bluźnił tak, jak bluźnić może zarzynane zwierzę, skomlał, gryzł i piszczął, dopóki nie padł zemdlony. Dobudzili go trzy dni po wszystkim, kiedy kształtem

ani zachowaniem nie przypominał już istoty ludzkiej, a jedynie przeżuty kawał mięsa. Pokrojone kości nie chciały się zrastać i całkowicie odmówiły wykonywania funkcji, do których pierwotnie je przeznaczono. Po zabiegu przybrały nawet bardziej mojąszowy kształt.

Minęło sporo czasu zanim znów zaczęły powłóczyć drewnianymi kończynami; piece ze zwęgloną zawartością zdążyły wystygnąć, porzucone na torach wagony rozłożyły się z niewyładowanym towarem, druty pokryły rdzą przyszpilone do siebie torsy, a płuczki wylewały ze swych gardzieli żydowskie złoto. Wkrótce powojenny porządek zwrócił się także po niego.

Zjawił się pod wieczór, kiedy zasiadali do wieczerzy, składając podzięką za hojne dary, wydłubane z den poobozowych urn. Przedstawił semicko brzmiącym nazwiskiem i rozsiadł na jednym z wianuszków krzesel obok kaleki pieszczotliwie nazywanej Łazarkiem. Poprawił jej zlepek przefarbowanych kosmków z domieszką archaicznego hebanu, który ostał się na pojedynczych pasmach.

Z takimi się urodziłeś, powiedział rozpętując piekło. Demony i czarty rozochoczone jawnym rozkazem na objawienie swojej, aryjskiej obecności, opuściły ciała gospodarzy i ich czteropokoleniowego potomstwa. Wylęły się z każdej wadliwie nastawionej kości, naruszonej tkanki, rozszarpanej komórki w organizmie Łazarka, kopały tunele w zgangrenowanym krwiobiegu, amputowały jego istnienie, wyjadały od środka, spijały osocze, pluły, lżyły, okrawały.

Ja dzieciaka nie oddam, nie oddam na zmarnowanie, na zżydowanie, prędzej zabiję, odrąbię łeb, utopię, ale nie oddam! Złapała za nóż do szlachtowania świń i za jednym zamachem przytknęła go do gardła przysposobionego wieprza. *Żeś ty, mendo nie zdechła jak wszystkie, żeś nie zgniła w tym gnoju, żeś tu przyszła jak po swoje, tam, tam twoje miejsce, tam twoja kolebka i cmentarz, tam przebieraj swoich w piecach, a teraz won. Won!* Demon zatańczył wściekle na trzonku, tocząc pianę z gardzieli. Podszeptował, by cię mocno, rozpruć tętnicę i skrócić o głowę. Tak będzie lepiej, niżby miał znowu zmurszeć przy tej brudnej żydowskiej, od której ledwo go

wyratowali. Nie, nie odda go, nie sprzeda, jak ona, prędzej narobi kiełbasy z tych cienkich jelitek i każe jej zeżreć.

Zabiorę go ze sobą. Do grobu, zasyczała i nastąpiła ciemność. Zwiotczone ciało osunęło się w ramionach rzeźnika i nagle stało się ciężkie, jakby z wieprza przeistoczyło się w woła, który wrócił do stada ze szkarłatnym wykwitem na czole.

Rzeźnia zbankrutowała, tracąc pierwszego i zarazem jedyne go klienta, ukradzionego przez brudno – żydowski zakład pogrzebowy.

Mnie.

Sebastian Suchecki (Tristan), kl.4
Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych
w Łomży

Kongregacja cieni

Morvran otworzył przyłbicę i splunął gęstą flegmą, zmieszana z krwią. Spojrzał na zachmurzone niebo, po czym odetchnął powietrzem nasyconym krwią, potem i spalenizną.

– I po co wam to było? – rzekł do martwego rycerza, na którego napierśniku przysiadł. – Po co sprzeciwiać się Kongregacji? Inni się przyłączyli. Tak trudno było przełknąć dumę i posłusznie przykłęknąć?

Trup, jak to martwi mają w zwyczaju, nie odpowiedział na zaczepki. Wbijał zeszkłone, obojętne oczy, w szare niebo. Powietrze przeszył dźwięk rogu, wzywając zbrojnych rozproszonych po polu bitwy. Morvran zachnął się i powstał niechętnie. Rzucił ostatnie spojrzenie martwemu i wycelował weń oskarżycielsko palec.

– Warto było oddawać życie? Za co teraz gnijesz w błocie?

Twarz trupa niezmiennie wyrażała zimną obojętność.

Róg zabrzmiał ponownie. Nad pobojowiskiem już zebrały się ptaki, niecierpliwe, by rozpocząć ucztowanie. Jeden odważny kruk przysiadł na rozmówcy Morvrana i wydziobał mu oko. Rycerz uznał tedy, iż konwersacja skończona, ukłonił się dworsko, wy-

rwał z bebeczków trupa nadziak, po czym ruszył pod karmazynowy sztandar Chorągwi Lamentu, smętnie zwisający nad namiotem dowództwa.

– Moi ludzie nie będą w tym uczestniczyć. – Virkeligh położył obie dłonie na mapie, pochylając się nad stołem. Spojrzał wymownie na przedstawiciela rady Kongregacji.

– Takie są rozkazy rady. – Niewielki, zakapturzony posłaniec z chrapliwym głosem nie ustępował. – A ty ślubowałeś im posłuszeństwo, Virkeligh. Pozwoliłeś, by wykradziono ziarno cierniowe ze strzeżonego przez ciebie taboru. Chcesz, by rada ponownie się na tobie zawiodła?

Baron zaśmiał się.

– Rada siedzi teraz w stolicy. To nie oni będą mieli na rękach krew setek wymordowanych, bezbronnych ludzi. Znów cała zła sława spadnie na Chorągiew Lamentu. Znów będziemy brodzić w posoce, by imię Kongregacji pozostało niezsargane. Rzekłem, nie rozkażę moim ludziom na rzeź.

Posłaniec wydał kilka dźwięków, które u przedstawicieli jego rasy zapewne uchodzą za obraźliwe, po czym sięgnął do płaszcza. Kilku zbrojnych oparło dłonie na przytroczonej do pasa broni, ale sam Virkeligh nie drgnął. Wydawało się, że jego zimne spojrzenie powstrzymało również posłańca, przed tym, co chciał uczynić.

– Powiedz swoim panom, że zdobędziemy miasto bez masowego mordu. A teraz precz z mych oczu, nim każę cię rozwlec końmi – rzucił baron przez zęby, mając już dosyć zuchwałości karłowatej postaci.

Gdy posłaniec opuścił namiot, Virkeligh kazał odejść pozostałym, jednak zatrzymał Morvrana, który stał swobodnie po jego prawicy.

– Komu służysz, przyjacielu? – W głosie barona przebrzmiało zmęczenie i smutek. Wydawało się, że spoczywa nań wielki ciężar.

– Tylko tobie, panie, ślubowałem lojalność.

– Nie panuj mi tutaj. Jesteśmy sami. Do kogo należy twoje serce? Morvran westchnął teatralnie i rozłożył ręce.

– Wiesz, że zrobię o cokolwiek mnie poprosisz. Przejdźmy do rzeczy. Widzę, że coś cię trapi.

Virkeligh uśmiechnął się smutno.

– Myślisz, że warto oddać swe życie w imię idei?

Baron Virkeligh dotrzymał słowa i zajął miasto, nie przelewając więcej krwi. Otoczeni i zmęczeni ciągnącym się oblężeniem obrońcy przystali na warunki kapitulacji. Mimo to, opinia rady pozostała niezmienna. Tak, jak w przypadku każdej innej baronii, która nie przyjęła dobrowolnie zwierzchnictwa Kongregacji, stolicę, a jednocześnie symbol oporu, należało uczynić symbolem porażki i uległości zdobytej frakcji. Tedy, jak to się działo uprzednio, rada chciała użyć ziarna cierniowego.

Oficerowie zebrali się na wzgórzu, skąd był doskonały widok na stolicę. Piękne, dumne miasto, dom kilkunastu tysięcy mieszkańców, zarówno ludzi jak i nieludzi, ostatni bastion niepokornej baronii, wkrótce miało zostać zgładzone, w tak uwielbiany przez radę sposób. Baron, akceptując warunki kapitulacji, wiedział na co się pisze. Jako wróg Kongregacji, musiał zginąć. Wybrał więc życie swych ludzi ponad własne. Czyn godny bohatera. Ale piewcy Kongregacji opiszą go w swoich poematach jako paskudną kanalię, kolejnego obmierzonego buntownika, który nie chciał się ukorzyć, pociągając za sobą na śmierć tysiące istnień. W pamięci pozostanie jako wróg i potwór. Jedyne jego poddani będą pamiętać to poświęcenie, a i ta pamięć zaniknie po latach, kiedy prawdy głoszone przez piewców omamią i ich.

To krew uległego barona miała posłużyć do nasączenia ziarna cierniowego.

Morvran kilkakrotnie był świadkiem przebudzenia ziaren. Za każdym razem było to równie niesamowite i przerażające.

Kiedy tylko ziarno nasaczyło się ludzką krwią, wypuszczało pędy, które z niesamowitą prędkością rozrastały się do gargantuicznych rozmiarów, rozsadzając wszystko ponad sobą. Tak też stało się i tym razem. Po chwili ciszy, wszyscy na wzgórzu poczuli potężne trzęsienie. Następnie ujrzeni pęknięcia na murach i rozpadające się budynki mieszkalne. Wtem spod twierdzy barona wyrwał się pęd, wznosząc się gwałtownie ku niebu. Za jego śladem podążyły

kolejne, wyrastając na wysokość setek stóp, jak gdyby chciały sięgnąć słońca i przytłoczyć je swą zatrważającą siłą.

Rozsadzone przez olbrzymią moc wielkie fragmenty zabudowań zostały wyrzucone w powietrze, gdy kolejne pędy wydostawały się z głębokiego podziemia twierdzy, w którym to baron dokonał swojego żywota, karmiąc swą krwią plugawe ziarno. W czasie nie krótszym niż dwadzieścia uderzeń serca, wszystko się uspokoiło i ucichło.

Ziarna najczęściej służyły jako narzędzia mordy i mogły zniszczyć populację największych miast w zaledwie kilka chwil. W tym przypadku zagłady doświadczyło opustoszałe miasto. Kilkanaście tysięcy jego mieszkańców patrzyło na dzieło zniszczenia spod wzgórza, pilnowani przez zbrojnych kongregacji. Jedni łkali, inni klęli lub wygrażali zbrojnym. Pozostali trwali w bezruchu, z wzrokiem utkwionym w ruinę, która jeszcze przed chwilą była ich domem i schronieniem.

Oficerowie na szczycie wzgórza, w milczeniu spoglądali na wszystko z siodła swych wierzchowców. Posłaniec rady zaśmiał się i wznosił ręce ku górze.

– Koniec przedstawienia. – Virkeligh splunął na ziemię.

– Racja, czas świętować. – Posłaniec posłał baronowi swój najbardziej jadowity uśmiech. – Trzeba uczcić twoje zwycięstwo.

Podczas gdy pozbawieni domów ludzie oplakiwali stratę, zebrani przy długim stole rycerze, baronowie, posłańcy i cała reszta, raczyła się obfitym posiłkiem, suto zakrapianym wysmienitym winem. Posłaniec rady powstał ze swego miejsca.

– Dziś, pod przewodnictwem wspaniałego bohatera Kongregacji, barona Virkeligha, zdławiliśmy opór wroga. Bądź pewien, panie, że zasłużona nagroda cię nie ominie. Rada przesyła pozdrowienia.

– Uniósł kielich w stronę barona. Jego blada twarz wykrzywiła się w parodii ludzkiego uśmiechu. – Chwała Virkelighowi! Chwała Kongregacji Cierni!

Wszyscy unieśli kielichy. Kiedy pozostali zasiedli, baron oparł dłoń na krawędzi ławy i upuścił kielich. Chwycił się za gardło i zaczęła krztusić. Siedzący koło niego rycerze powstał i pochwycili

go, nim osunął się na ziemię. Podniosła się wrzawa, lojalni zbrojni Virkeligha sięgnęli po broń. Jeden z rycerzy natychmiast wskazał dłonią na wyjście z namiotu, w którym ucztowali.

– Zdrada! Otruto wodza! To podstęp pokonanych! – krzyczał, jednak jego głos zaginął pośród innych okrzyków.

Posłaniec dołał sobie wina i powoli sączył trunek, z zadowoleniem obserwując podnoszący się zamęt.

Morvran pewnym krokiem przemierzał korytarz prowadzący do kwatery rady Kongregacji. Droga schodziła coraz bardziej w dół, powoli znikwały wielkie okna, dające choć odrobinę światła. W pewnym momencie idącemu towarzyszył jedynie mrok, dźwięk kroków i własny oddech, który zaczyna wydawać się zbyt głośny we wszechogarniającej ciszy. Przystanął kilka stóp przed ogromnymi wrotami, rzeźbionymi w przebogie motywy roślinne, otaczające scenki batalistyczne. Sięgnął do potężnej kołatki. Niemal natychmiast otworzyli mu zakapturzeni słudzy. Został uważnie przeszukany, odebrano mu sztylet, pas, płaszcz, po czym poprowadzono przed stół radnych.

Co najmniej kilkanaście skrytych w cieniu postaci siedziało wzdłuż ławy. Jedyne źródło światła stanowiły nieliczne świece umieszczone na wysokich żyrandolach. Chłód i mrok sali zdawał się jednak dławić nawet ten wątły blask. Z początku rycerzowi wydawało się, iż widzi posągi stojące pod kolumnami, po obu stronach stołu, zaraz za członkami rady. Po chwili zrozumiał, że to strażnicy, w zbrojach z czarnej stali. Nieludzie, wytworzeni na potrzebę Kongregacji, straszliwa gwardia, niemal nigdy nie widziana poza stolicą.

– Morvranie, zwany Krwawym – rzekł jeden z radnych, przerywając długą ciszę. Syczący, nieprzyjemny głos nie mógł należeć do człowieka. – Twój pan zginął jako ofiara wrogów Kongregacji. Jesteś tu, by odnowić śluby posłuszeństwa.

– Jednak nie myśl, że twój wysiłek podczas kampanii, oraz lojalność dla Kongregacji Cierni, pozostały niedostrzeżone. Przyjmiesz należne ci miejsce, zastępując feudała zarówno jako przywódca Chorągwi Lamentu, oraz jako baron zdobytej przez Virkeligha

domeny – dodał drugi głos, znacznie niższy i złowrogi. Rycerzowi nie trudno było odczytać drzemiącą w propozycji groźbę. Nie w jego woli leżało wybierać, miał po prostu się zgodzić.

Ten uśmiechnął się blade, kręcąc lekko głową.

– Problem w tym, że to nie wrogowie Kongregacji pozbawili go życia.

W cieniach wysokich, spiczastych kapturów, twarze radnych pozostawały niedostrzegalne, podobnie jak ich emocje. Kiedy pierwszy ponownie przemówił, jego głos zmienił się niemal niedostrzegalnie.

– Naszym obowiązkiem jest dbać o jedność Kongregacji. Jeśli ktoś godzi w słuszną sprawę, o którą walczymy, musi zginąć. Takie jest prawo. Tylko tak zjednoczymy baronie Cienioboru. A ty, Morvrane, walczysz już tak długo, że winienesz to dostrzec. Virkeligh okazał się zbyt zaślepiony przez swą słabość. Liczyliśmy, iż ciebie nie dotknęła ta skaza.

Śmiech Morvrana był ledwie słyszalny, został pochłonięty przez ciemność. Strażnicy poruszyli się lekko. Widocznie domyślali się, że coś jest nie tak.

– Więc nie zamierzacie ukrywać, iż wydaliście polecenie otrucia Virkeligha? Najwspanialszego z waszych wodzów? Mojego przyjaciela? Którego zmusiliście do poddaństwa, niewoląc jego żonę i jedyne dziecko?

Tym razem jeden z radnych się zaśmiał, obrzydliwym, charkoczącym śmiechem.

– Sądzisz, że możesz nam coś zarzucić? Działamy dla dobra wszystkich podległych baronii, nie wiesz, z czym przyszło się nam mierzyć. Życie takich jak Virkeligh, czy ty, nic nie znaczy. Tworzymy nowy, lepszy świat.

Strażnicy postąpili do przodu, opuszczając drzewce, zbliżając się powoli do Morvrana, otaczając go niczym jak cienie.

– Ale to nie wy otruliście Virkeligha. Ja to zrobiłem.

Tym razem był pewien, że wywołał zdumienie u radnych, którzy wymienili między sobą zdezorientowane spojrzenia. Kontynuował tedy, podczas gdy straż zacieśniała krąg.

– Wiedziałem, jak potraktujecie złamanie rozkazu. Zresztą Virkeligh również. Przygotował mnie na to. Tedy dodałem do wina sok z Białego Moru. A sam Virkeligh już wkrótce się przebudzi. I jak myślicie, co się stanie, gdy w jednej chwili cała rada zginie w tragicznym wypadku, a najświetniejszy wódz i ulubieniec armii powróci do życia?

Jeden ze strażników wystąpił krok do przodu. Kilku radnych powstało, najwidoczniej orientując się co zaraz nastąpi. Jednak było już za późno. Ich krzyk nie zdołał powstrzymać halabardy, która przebiła trzewia rycerza. Z ust chlusnęła krew. Chwycił się drzewców i zaśmiał cicho. Strażnik cofnął się, jednak nie mógł wyciągnąć broni. Na drzewce powoli wpełzały cierniowe gałęzie, wyslizgując się z rany rycerza.

– Wygląda na to, że zbyt szybko uwierzyliście w skradzenie ziarna cierniowego.

Radni podnieśli wrzask, niektórzy rzucili się do ucieczki, inni chcieli schować za strażnikami. Pozostali siedzieli w miejscu, przyglądając się wątląm pnączom wypływającym powoli na posadzkę. Zrozumieli, że sala, którą kazali tu zbudować, stała się ich grobem.

– Może jednak... – Morvran z trudem wydobywał z siebie głos, gdy jego wnętrze rozdzierało pęczniące ziarno cierniowe, które właśnie poilo się jego krwią. – warto umrzeć za ideę...

Gdy tylko ziarno napęczniało, pękło, rozbijając skorupę. A następnie wypuściło korzenie.

Nasz czerwony samochód

Nagle wszystko zatapia się w chaosie. Wnętrze czerwonego fiata wypełnia hałas. Twoje okrągłe, szeroko otwarte oczy — strach. Wokół wirują myśli i przedmioty, których nigdy nie powinno się ruszać z miejsca. Nie jestem w stanie zareagować. Nie mogę też w bezruchu znosić naszej klęski. Bezradny wbijam w Ciebie wzrok. Zrób coś, chwyc kierownicę! Ty tylko niemo patrzysz w nieubłagane zbliżającą się przepaść. Już nie wiem, kto kieruje. Obydwoje tracimy kontrolę, jakby sparaliżowani. Jedyne, czego chcę, to złapać Cię za rękę i w tych ostatnich chwilach powiedzieć „kocham”. Dlaczego nie chcesz na mnie spojrzeć?

A pamiętasz ten dzień, to majowe popołudnie, kiedy się poznałyśmy? Złociste promienie otulały Twoje ciało. Pamiętasz? Była sobota, chyba pierwsza tak słoneczna w całym roku. Kwaciarnia, w której pracowałaś razem z całą Warszawą celebrowała leniwy początek weekendu. Siedziałaś na drewnianej ławeczce obok krzewu czerwonych róż, czytając oprawiony w skórzaną okładkę tomik poezji. Co jakiś czas odrywałaś się od lektury i rozglądałaś wokół nieobecny wzrokiem, jakbyś chciała sprawdzić, czy rzeczywistość jeszcze tam jest. Czasem zastanawiałem się – czy wolałabyś, żeby nagle się rozpląnęła? Zostałabyś tu sama – Ty i tomik. Z jakiegoś powodu wydawało mi się, że ta myśl była dla Ciebie bardziej kusząca, aniżeli przykra. Byłem równocześnie zły i szczęśliwy, że muszę wyrwać Cię z przyjemnej otoczki nieświadomości. Zmarszczyłaś brwi i powoli podniosłaś na mnie swoje cudowne, piwne oczy, kiedy zasłoniłem Ci słońce. Zmierzyłaś mnie wzrokiem, a ja starałem się wyglądać niewinnie i przepraszająco. Nasze dłonie zetknęły się, gdy podawałaś mi bukiet goździków. Dlaczego teraz nie chcesz mnie dotknąć?

A czy pamiętasz ten niezwykły poranek czwartego lipca? Miałas na sobie tę długą, białą sukienkę. Pokazałem Ci mój ulubiony sad,

wiesz, ten, do którego zabierała mnie jeszcze babcia. Pokochałaś to miejsce. Zbierałaś czereśnie, aż cała sukienka pokryła się czerwonymi plamami, a Twoje idealnie miękkie usta słodkim sokiem. Pamiętasz, jak wtedy siedzieliśmy pod najstarszym drzewkiem? Ty cytowałaś Szymborską i z zapalem opowiadałaś o trwałości chmur. Przysięgam, że również mnie to interesowało, ale słodycz pocałunku okazała się zbyt kusząca. Gdy zaniemówiłaś, bałem się, że wybuchniesz (nigdy nie lubiłaś, gdy Ci przerywano), ale Tobie chyba też zasmakował czereśniowy smak. Dlaczego teraz nie chcesz mnie pocałować?

Pamiętasz te dni, kiedy wieczorami czytywałaś Baczyńskiego? Zawsze fascynował mnie sposób, w jaki się wzruszasz. Nigdy nie widziałem, żebyś płakała. Zwykle po prostu siadałaś w fotelu i wpatrywałaś się pusto w przestrzeń, jakby ogłaszając strajk milczenia w odpowiedzi na wszystkie niesprawiedliwości tego świata. Pewnej niedzieli poszliśmy razem na Powązki. Szłaś w swoim wyjściowym czarnym płaszczu. Krążyłaś wśród brzoźowych krzyżów bezszelestnie, z szacunku dla wiekuiestej ciszy bojąc się zbyt głośno oddychać. Gdy staliśmy przy grobie Twojego ukochanego poety, po Twoim policzku popłynęła pierwsza, jaką dotąd udało mi się zobaczyć, łza. Długie minuty wbijałaś wzrok w zdjęcie heroicznego młodzieńca, jakby prośba szerokich źrenic mogła go wskrzesić. Minuty mijały, a z nabrzmiałych, atramentowych chmur zaczął padać deszcz. Rozpostarłem nad nami Twój ulubiony parasol, wiesz, ten czerwony, który dostałaś kiedyś od taty na urodziny. Ty jednak spojrzałaś na mnie, przekazując, jak bardzo niestosowny był ten gest. Jakby czerwony parasol na cmentarzu był powodem do hańby. Szybkim ruchem wyrwałaś mi go, złożyłaś i delikatnie postawiłaś. W nabożnej ciszy patrzyłem, jak strugi deszczu zalewają całą Twoją postać – ściekają po ciemnych, długich włosach, rozmywają czarny tusz do rzęs. Gdy wyszliśmy za cmentarne bramy, objęłaś mnie, pamiętasz? Teraz już rozumiem. Wśród tylu dowodów na ludzką nietrwałość, w moich ramionach szukałaś stabilności. Dlaczego teraz nie chcesz mnie objąć?

Pamiętasz, były takie dni, gdy nie wiedziałem, co czytasz. Nie wiedziałem, czego się spodziewać i jak się zachować. Łatwo było Cię wtedy wytrącić z równowagi. Takie dni zdarzały się coraz częściej. Martwiłem się o Ciebie i o nas. Może to przez Twojego ojca? W końcu nieustannie się o to kłóciliśmy. Nie rozumiałem, jak tak silna kobieta, może nadal nie móc uwolnić się od tego bezwzględnego mężczyzny. Dopiero wtedy dostrzegłem, jaka możesz być stłamszona, jak słaba. Może to mój błąd? Może tylko wymyśliłem sobie Twoją siłę? Może nie chciałem widzieć Twoich słabości? Nigdy nie chciałaś się do nich przyznać. Pamiętasz, kiedyś o północy rozbiłaś o ścianę mój czerwony kubek, ten kupiony dla żartu w walentynki. Krzyczałaś wtedy, nie obchodził Cię nawet sen sąsiadów, którym codziennie pomagałaś i pożyczowałaś mąkę. Dlaczego teraz nie chcesz nawet na mnie nakrzyczeć?

Potem nie chciałem Cię już słuchać. Nie chciałem widzieć Cię płaczącej przeze mnie, bo przecież byłaś jedynym, o co chciałem dbać. Tej nocy po prostu wyszedłem, zostawiając za sobą Ciebie, Twoją poezję, problemy i radości życia codziennego. Zastanawiam się, co robiłaś podczas mojej nieobecności. Bezsennie na mnie czekałaś, czy może właśnie wtedy pierwszy raz spałaś spokojnie? O poranku otrzeźwił mnie siarczysty policzek, wymierzony z całej siły Twojej wątlej dłoni. To było jedyne powitanie, na jakie byłaś w stanie się zdobyć. Dlaczego teraz nie chcesz mnie nawet uderzyć?

To koniec. Nikt z nas nie zatrzyma czerwonego fiata. Nasz samochód nie zwalnia – nikt ani nic go nie powstrzymuje. Siedzimy w nim razem, przytwierdzeni nie pasami bezpieczeństwa, ale paraliżującym strachem. Patrzę ostatni raz w Twoje piwne oczy. Teraz już widzę, co się w nich odbija – to nie strach, tylko obojętność. Czy Ty kiedykolwiek coś czułaś? Może nie musiałaś zakładać maski, ukrywając emocje – może są dla Ciebie równie obce jak dla mnie poezja? Dlaczego nie potrafisz Cię zrozumieć? Dlaczego nie mogę Cię dotknąć? Dlaczego już na mnie nie patrzysz? Spójrz, to koniec, czerwony fiat jak porzucona zabawka rozbija się o ostre skały, a my umieramy. Na odchodne z tego świata nie powiesz mi nic, a ja odpowiem Ci niczym. Tego właśnie chcesz? Czy to wszyst-

ko nie miało dla Ciebie żadnego znaczenia? Być może już nie ma, skoro zaraz pocujemy tępy ból roztrzaskiwanej czaszki, a zmęczone dłonie zacisną się w pięść, jakby gotowe do walki, której i tak nie mają szans wygrać. Może to wszystko nigdy nie miało znaczenia?

Tej nocy, tak jak poprzedniej, nie umarłem. Skostniałe palce kurczowo zaciśnięte mam na pomiętym prześcieradle. Rozglądam się po znajomej sypialni, na szafce nocnej nadal leży jeden z Twoich tomików Zbigniewa Herberta. Do zniszczonego ciąglým myciem kubka nalewam czarnej kawy – tej nocy już nie zasnę, tak jak każdej poprzedniej. Echo ciszy odbija się od nagich ścian. Jedyne kolor w tej żałosnej przestrzeni to moja myśl o Tobie. W mojej wyobraźni każde wspomnienie przybiera barwy czerwieni. Czerwone jak słodkie czereśnie, czerwone jak krew wypływająca z bolesnej rany. Przypadkiem napotykam własne spojrzenie w lustrze i myślę, że wolałbym zginąć, patrząc w Twoje oczy, niż budzić się każdej nocy bez Ciebie.

**Emilia Malinowska (Artemida), kl. 1
VI Liceum Ogólnokształcące w Kielcach**

Zrękowiny

Odziany w szykowne baczmagi i kontusz z najbardziej ozdobnym pasem jedwabnym w całym powiecie, i do tego kupionym w stolicy, po ganku swojej posiadłości przechadzał się wielce szanowny pan Mirosław Wnetrzański. Dzisiaj właśnie zamierzał on wydać swą jedyną córkę Rudosławę za szlachcica Dobrosława. Stan majątkowy pana młodego był satysfakcjonujący, ponadto ojciec wiedział skąd inąd, iż jego potomna wymieniała przedtem z młodzieńcem listy, zapewne miłosne. Błogi spokój wypełniał duszę starszego szlachcica. Wszystko było tak, jak być powinno.

– Świcie się spisałem, moja duszko! – pomyślał pan Mirosław, spoglądając rzewnie na medalik z portrecikiem małżonki.

– Ojczel! – zza pleców dobiegł go głos córki – Jakżeś mógł być takim okrutnikiem, by mą rękę Dobrosławowi oddać?!

Mężczyzna obrócił się, wybałuszając z zaskoczenia swe szare oczy.

– Córeczko miła, wszak kochasz Dobrosława, to w czymże tu problem leży?

Miedziane włosy Rudosławy zafalowały złowieszczo, a pulchną buzię wykrzywił grymas.

– Ach ojczel najdroższy! Nigdy żem go nie ukochała, gdyż me serce jedynie dla Bobrosława bije.

Dolna powieka prawego oka szlachcica drgnęła raz, potem drugi i trzeci, podczas gdy ten zastygł w osłupieniu.

– Toż to bliźniacy! Jednacy oni są. Żadna różnica to przecież będzie czy Dobrosław, czy Bobrosław twym mężem zostanie. Po reszcie, w drodze jest już pan młody, a i obiad na zrękowiny gotowy.

Dziewczę tupnęło nogą, lecz na tyle ostrożnie, aby nie odsłonić kostek spod zielonego materiału sukni.

– Ojczel, mówiłam ci przecież, abyś kiedy list będziesz pisał, nie gryzmolił i litery B z D nie pomylił, bo tragedia się stanie. A teraz spójrz na mnie, serce me w drobny mak połamane. Och! Chyba umrę z tego nieszczęścia!

Mirosław słowem już się nie odezwał, dając tym do zrozumienia, że dyskusja zakończona i zdania swojego nie zmieni, i że to Dobrosław zostanie mężem Rudosławy. Córka jednak nie zamierzała poddać się bez walki.

– Jeśli nie wolno mi oficjalnie odmówić, a tatko w uporze zacięty, sama dam Dobrosławowi subtelnie do zrozumienia, żem mu nieprzychylna – pomyślała.

Wtem usłyszeli stukot kopyt i ich oczom ukazał się przyszedł pan młody. Oddać sprawiedliwości należy, że prezentował się on godnie i zadbanie. Kontusz jego w karmazynie był skąpany, a pas złoty wykonany z jedwabiu, złotymi nićmi w zamorskie wzory ozdobiony. Młodzieniec zsiadł z konia, który, nawiasem mówiąc, jeszcze większej był urody od niego samego i ruszył niezwłocznie w kierunku Mirosława i Rudosławy.

– Serdecznie dziękuję waszmości za zaproszenie. – Dobrosław zwrócił się do mężczyzny, po czym skierował swój wzrok na kobietę.

Mimo że skłonił jej się tylko z należąną rewerencją nie wyrzekłszy słowa, w jego oku błysnęło coś, czego Rudosława nie mogła odczytać. Zaćma li to czy wzruszenie?

– Gość w dom, Bóg w dom. Witaj kawalerze! – odpowiedział radośnie Mirosław, po czym gestem wskazał w kierunku drzwi – Mięsiwo i inna strawa już czekają, jeno nam do stołu usiąść zostało.

Gdy znaleźli się w jadalni, ich oczom ukazał się stół wypełniony po brzegi potrawami, jak na dom prawdziwego szlachcica przystało. Począwszy od najdelikatniejszego mięsiwa pulard i kapłonów, gęsi w śmietanie z grzybami, flaków przyprawianych szafranem, poprzez mięsa wołowe duszone i pieczone, a kończąc na dziczyźnie. Podczas gdy Mirosław z Dobrosławem przy stole zasiedli, Rudosława udała się do kuchni. Tam przekonała kucharza, aby to jej pozwolił zanieść przygotowany na tę okazję rosół. W pierwszej kolejności podała danie ojcu – ze względu na starszeństwo. Pan Mirosław spojrział na córkę zdumiony.

– Dlaczegoż sama nosisz stawę, moje dziecko? – spytał.

– Ojczy, chciałam jedynie pokazać Dobrosławowi, jak dobrą gospodynią jestem. Ani kropelka rosółu się nie wyleje, gdy go trzymam! – odpowiedziała dziewczyna.

Dobrosław wydawał się zadowolony z wyjaśnienia, pana Mirosława ogarnęło jednakże dziwne przecucie. Prędko je jednak odpędził. Kiedy Rudosława wróciła do kuchni po raz drugi, postanowiła, że czas doprawić nieco zupeł przyszłego męża. Poznawanie nowych smaków uznała bowiem w tym momencie za zajęcie bardzo ciekawe i do tego nader przyjemne. Do ręki wzięła więc pieprzniczkę i zanim się zorientowała, w rosole Dobrosława była ponad połowa jej zawartości. Po dokładnym zamieszaniu, zaniósła zupeł młodzieńcowi.

– Smacznego! – staropolskim obyczajem zachęcił do jedzenia pan Mirosław, kiedy wszyscy usiedli już do stołu.

Posiłek przebiegał w zasadzie spokojnie. Rudosława delectowała się jednym z lepszych rosółów, jakie jadła. Panu Mirosławowi brakowało trochę pewnej ostrości i mocniejszego smaku dania. Jedynie Dobrosław zdawał się mieć pewne problemy. Twarz jego najpierw zrobiła się czerwona, a oczy wyszły z lekka na wierzch. Ponadto zupa zdawała się ubywać z jego talerza wielce powoli. Co jakiś czas młodzieniec kaszlał też i krztusił się, choć trzeba przyznać, że nader powściągliwie.

– Może też czegoś mu nie dostaje? Za mdła ta zupa. Tak, to na pewno jest przyczyna – pomyślał starszy szlachcic i porwał żwawo za pobliską pieprzniczkę, po czym zaczął przyprawiać rosół młodzieńca, mówiąc:

– Brakuje dobrego, ostrego smaku, mój przyszły zięciu, pozwól więc, bym ci dopomógł.

Dobrosław wyglądał, jakby właśnie ziścił się jego najgorszy koszmar. Rudosława uśmiechnęła się do niego rozbrajająco, zagadując:

– Czyżby rosół nie był w waszym guście, waszmość Dobrosławie?

Mężczyzna uśmiechnął się dzielnie, mimo że twarz jego zaczynała powoli przybierać barwę buraka, z którego dopiero kolejne danie, sławetny barszczyk czerwony domu Wnetrzańskich był przyrządzany.

– Ależ przeciwnie! Ten rosół niczym ambrozja jest dla mnie.

– Toż to świetna wiadomość! – uśmiechnęła się dziewczyna – Kiedy już się pobierzemy, będziesz go więc ze mną co najmniej raz w tygodniu jadał.

– Z wielką chęcią – słabym głosem odpowiedział Dobrosław.

– Czyżby pieprz to za mało, aby się go pozbyć? – pomyślała niezadowolona Rudosława – Czas chyba na bardziej skuteczną perswazję...

Reszta obiadu przebiegła w spokoju, a buraczana czerwień z twarzy młodszego szlachcica zaczęła powoli znikać. Rudosława wyczekiwała dobrego momentu, aby wykonać swój następny ruch. Na szczęście ojciec jej wraz z przyszłym zięciem zaaferowani byli rozmową o wielce politycznych rzeczach, nie zwracając na nią zbytnej uwagi.

– Teraz albo nigdy – pomyślała i wierzgnęła nogą pod stołem, celując obcasem w piszczel przyszłego męża. Wiedziała, że manewr był udany, gdyż jej ofiara wydała z siebie głośny, wysoki dźwięk.

– Och! Wybacz mi waszmość, lecz wizja ślubu naszego sprawia, że cała się denerwuję! A jak się denerwuję, to bywa, że i kopię za wzięcie, gdzie popadnie – wyjaśniła z udawanym zakłopotaniem Rudosława.

Dobrosław nic nie powiedział, jedynie skinął głową, nie chciał bowiem kolejnego upokarzającego dźwięku z ust wypuścić.

– Ból też mu nie straszny! – z przerażeniem skostatowała przyszła panna młoda – Cóż teraz uczynię?

Podczas gdy panna gorączkowo obmyślała dalszą strategię, rozmowa przeniosła się do salonu. Pan Mirosław zdawał się być w swoim żywiole, opowiadając o swych przygodach na minionych łowach, jak i o następnych, które zamierza urządzić. Może jego historia o własnoręcznym pokonaniu niedźwiedzia w walce na pięści była nieco zbyt heroiczna, ale narzeczony przyjmował opowieść z entuzjastyczną uprzejmością.

Przyszedł czas na ostatnią deskę ratunku Rudosławy. Panna osunęła się na kanapę, a jej nadgarstek opadł na czoło.

– Ach! Jak boli! – wyjęczała. Pan Mirosław i Dobrosław błyskawicznie porzucili temat i znaleźli się przy niej.

– Cóż się stało, córeczko najdroższa? Co boli? – zapytał przerażony ojciec.

– Wszystko! Ach, ja nieszczęsna. Biedna, biedna ja... – kontynuowała Rudosława.

– Sprowadzę co prędzej medyka! – pan Mirosław wybiegł z pokoju, krzycząc na odchodne – Niechże waszmość na nią uważa!

Rudosława leżała, jęcząc teatralnie, tymczasem Dobrosław, zamiast okazać jej współczucie, zaczął się śmiać.

– Jakże on śmie? – oburzyła się w myślach dziewczyna.

– Czy waszmość tak me cierpienie bawi? – zapytała z wyrzutem.

Mężczyzna odpowiedział nadal uśmiechając się szeroko:

– Rudosławo, ma luba, podziwiam z serca całego twą determinację i lojalność. Lecz wzrok masz nie za dobry. Jam jest przecież

Bobrosław. Jenó żem się z mym bratem na miejsca dziś zamienił. Możesz więc przestać życie me uprzykrzać.

– Bobrosław?! – panna momentalnie porwała się z miejsca.

– Widzę, że ból już ci nie doskwiera? – zapytał niewinnie mężczyzna.

– To był ból chwilowy, Bobrosławie.

– Ależ oczywiście, Rudosławo.

Kiedy pan Mirosław, ledwo mogąc złapać oddech, wpadł z lekarzem do salonu, okazało się, że pomoc już potrzebna nie była. To była naprawdę dziwna scena. Dobrosław i Rudosława zdawali się nagle zachowywać niczym dwie brakujące połówki, które dopiero się odnalazły. Zaiste, bardzo dziwne. Może jego córka opowie mu kiedyś, co tak naprawdę się dzisiaj tu stało. On tymczasem może spokojnie czekać na czeladkę wnucząt...

Kajetan Struski (Tutek), kl. 1

I Liceum Ogólnokształcące w Gliwicach

Nie boli a powinno

Znalazłam swoją starą lalkę.

Leżała na strychu. Właśnie tutaj, wśród wielu innych zapomnianych zabawek. Mało brakowało, a ominęłabym ją gdy, wspierana zduszonym płomieniem świecy, przedzierałam się przez zwinięty szarą taśmą mrok i stosy niezrozumiałych książek, gdy przepychałam się między kartonami pełnymi wspomnień i wieszakami płaszczy, w których gustowały już tylko te najbardziej zdesperowane spośród domowych moli. Tylko dziełem przypadku dojrzałam refleks w najbardziej zapomnianym kącie poddasza. Zdmuchnięty kurz i mrok zawirowały mi w płucach.

Poznałam ją od razu. Tak jak poznaje się zasłyszaną po latach melodię pozytywki zmarłego dziadka, jak echo jego głosu w pustym mieszkaniu. Jak wydeptaną drogę do jego grobu i zapach wysuszonych, złocistych wieńców rozsypanych pod pomnikiem płaczącej Maryi.

– Ach, moja droga, moja malutka – westchnęłam. – Co robiłaś tu, beze mnie? Tyle lat samotnie, wśród ciszy, kurzu i wspomnień...? Ale coś się zmieniło. Była zimna. Jej stara, balowa sukienka niewiele uchowała z dawnego szyku i elegancji. Czas zadbał o jej nowy odcień – podpadał teraz pod szarość styczniowego poranka. Płaskie buciki, jednakże od piętnastu z górą lat, oblażyły już nieco z czerwonego aksamitu, zapodziało się też kilka spośród błyszczących guziczków a uleżany materiał popruł się nieco w okolicach lewego uszka...

Ale to nic. Dobrze znałam ten tajemniczy uśmiech zaszyty krzyżykiem w ustach. Przytuliłam ją do twarzy, zamknęłam oczy, zaciągnęłam się znajomym zapachem jej niesfornych loków, wstrzymałam oddech...

– Czekałam na ciebie.

Rzucona lalka huknęła o ścianę. Upadła na ziemię, znieruchomiała. Nie, to nie jest prawda...

Cisza, która zapadła, była czymś więcej niż samym brakiem dźwięków. Miała ręce i nogi, miała zaszyte krzyżykowym ścięciem oczy i usta, miała starą połatana sukienkę. Tutaj, na dusznym strychu, czas nagle zatrzymał się wokół nieruchomego płomienia świecy. Ona leżała tam, skrzywdzona, nieszczęśliwie zakochana księżniczka, jakby po targnięciu się na własne życie z najwyższej komnaty, najwyższej wieży pałacu. Oderwałam się od rzeczywistości – jej widok, porzuconej i zapomnianej wśród gęstego od zakurzonych cieni poddasza tylko mnie od niej oddalał.

Było cicho. Bardzo cicho.

Wtem drgnęła.

Przysięgam, na wszystko co mi drogie! Wbrew myślom filozofii Sokratesa, wbrew prawom dynamiki Newtona, wbrew teorii ewolucji Darwina i wbrew słowom ewangelii... na mą duszę, drgnęła! Poruszyła się, jak tu stoje!

Najpierw uniosła dłoń. Wbiła ją w podłogę, wzbijając tumany pyłu. Później druga, wsparła się na niej jak powstający po porażce ołowiany żołnierz. A powstała nienaturalnie, wiotka jak zwiędła róża. Jej głowa, jakby martwa, opadła na ramię – złapała ją

oburącz i gwałtownie szarpnęła, skrzyła, z chrupotem stawiając do pionu.

– Błagam, nie...

Jak ślepiec, jak lunatyk, wyciągnęła przed siebie bezwładne ramiona. Ruszyła. Pierwszy krok, jak zawsze, był najgorszy. Zafalowała w tańcu, chmury czarnego kurzu panicznie uciekły spod jej drobnej stopy. Postawiła ją gwałtownie. Po pierwszym musiał nastąpić drugi, nie trzeba było długo czekać. Wciąż szarpany, wciąż toporny, ale znacznie pewniejszy.

Kropla spienionego szkarłatu zabarwiła front sukni. Wraz z nią, zza zaszytych ust szczyły się szepty, zimne i ciche, jakby echo syku węży w pustej jaskini.

– Dziś bajki nie będzie, dziś czas koszmarów.

Nie wiedziałam, kiedy upadłam. Wiedziałam, że leżałam. Świeca odturlała się i zgasła, pozostawiając mnie sam na sam z ciemnością i krwawym obrazem starej lalki odbitym pod powiekami. Nie odważyłam się odwrócić. Odpełzając, wciąż wlepiłam wzrok w wirujące wokół płyty kurzu. W końcu plecy natrafiły na przeszkodę – od wolności dzielił mnie chłód murowanej ściany poddasza.

Nie, zaraz. Coś tu nie grało.

– Zakończenie nie będzie szczęśliwe – szepnęła z najbardziej zapomnianego kąta.

Czarno tu było, najczarniej i straszno, najstraszniej. Byłem bowiem sam w jej głowie. Sam w jej oczach. Porzucicie nadzieję, wy, którzy tu wchodzicie!

Porzuciłam ją dawno.

– Dawno, dawno temu... Dawno, dawno temu...

Ponurych ludzi tego dnia nie było wiele. Wiele za to pocieszało.

– Hej, nie płacz, malutka.

– Halo, uszy do góry!

– Pamiętaj, on zawsze będzie z nami.

– Zawsze możesz na nas liczyć.

– Kochamy cię, uwierz!

Nie wierzyłam ani trochę. Bo i czemu bym miała? Nie wierzyłam w żadne słowo. Może gdyby te obrastające płytę chwasty drapały chociaż w połowie tak przyjemnie jak jego kilkudniowy zarost ogorzałej twarzy, może gdyby świst stycziowego poranka w koronach wierzb brzmiał choć trochę jak jego głos bajający w łunie północnego ognia, może gdyby złociste wieńce choć w małym stopniu pachniały jego szafą pełną kraciastych koszul...

Może wtedy...?

Nie wytrzymałam do końca ceremonii. Nikt nie obejrzał się wtedy, gdy wstawałam. Gdy, skuliwszy się w jego obszernym płaszczu, odchodziłam we mgłę.

– Jest pani nieco wcześniej. Proszę zająć miejsce przed gabinetem. Było krzesło. Nad krzesłem wisiał zegar. Obok było okno. Za oknem zaś nie było niczego. Nie miałam więc po co tam patrzeć. Nie patrzyłam. Nie usiadłam.

Zegar spóźnił się.

– Następny proszę!

Moje ręce. Trzęsły się. Zdławiłam je, mocniej ściskając lalkę.

W drzwiach minęłam starszą panią. Uśmiechnęła się

– Spokojnie, to nie boli.

Nasze spojrzenia spotkały się. Zmiękła w oczach.

– Powinno - trzasnęłam drzwiami.

Znalazłam klucz do przeszłości. Był tam gdzie zawsze, pod dziurawą wycieraczką mieszkania osiemnastego na czwartym piętrze. Wsunęłam go do zamka i przekręciłam – z pozoru bezproblemowo. Zawahałam się dopiero na etapie klamki. Na etapie podróży. Stałam i wpatrywałam się w drzwi. Stałam i słyszałam.

– *Matko Boska! Kto się dobija o takiej godzinie?! Proszę! Ooo, malutka! Wchodź szybciotko, nie będziemy się przez próg witać! Cudownie cię widzieć, zdaje się że urosłaś? No, ściągnij te buty. Rzuć gdziekolwiek,*

i tak muszę pozamiatać. Wchodź, wchodź! Przyszykuję nam coś do jedzenia, bez gadania! Wymizerniałaś! Co to, w domu cię nie karmią? Jak w szkole? Olaboga, cały dzień na nogach... Ale dobrą sukienkę wybrałam, bez dwóch zdań, mam oko! Do twarzy ci, pewno wszystkie chłopaki na korytarzach się oglądają?! Tak, tak, siadaj, zaraz będzie woda na herbatę. Wszystko mi opowiesz, od początku...

Przekroczyłam próg. Przywitała mnie cisza, a ja przywitałam ciszę. Od razu pomyślałam, że pomyliłam mieszkania. Tak, na pewno! Przecież nic się tu nie zgadza, nic się nie zgadza! Bo gdzie on jest, no gdzie? Dlaczego? Dlaczego jest tu tak pusto? Dlaczego tak zimno, tak ciemno? Dlaczego, gdy patrzę po znajomych ścianach, zapomnianych kątach, oszronionych oknach, nigdzie nie ma śladu jego kraciastej koszuli, nie słysząc szurania jego kapci na wytartej podłodze?

– Matko Boska! Kto się dobija o takiej godzinie?! Proszę! Ooo, malutka! Wchodź szybko, nie będziemy się przez próg widać! Cudownie cię widzieć, stęskniłem się! Wcale do dziadka nie dzwonisz, wcale nie odwiedzasz. Siadaj, zaraz będzie woda na herbatę. Malutka, uszy do góry! Skąd te smutki? Hej, wszystko w porządku? Coś się dzieje? Jesteś zgrzana, a dłonie masz lodowate. Choć tu, bliżej kominka, do światła... Zaraz, pokaż te ręce! Na miłość boską, malutka, co się dzieje? Dlaczego...? Dlaczego robisz sobie krzywdę? Dlaczego niczego mi nie mówisz? Dlaczego płaczesz? Błagam, spójrz na mnie, malutka! Błagam, nie płacz...

Ale jak tu nie płakać, dziadku.

Jak tu nie płakać, skoro zamiast ciebie wita mnie cisza. Chodziła za mną po mieszkaniu, gdy cię szukałam. Patrzyła za mną, gdy wybiegałam. Do teraz mnie prześladowuje, chodzi za mną i ucieka, gdy się oglądam.

Mocniej przytuliłam lalkę.

Ratuj, dziadku.

- Proszę się położyć.
- Wolałabym siedzieć.
- Proszę opowiedzieć mi wszystko.
- Nie ma co opowiadać.
- Proszę posłuchać.
- Już to słyszałam.
- Proszę mi zaufać.
- Chciałabym...
- Proszę mi wierzyć.
- ...ale nie mogę.

Jakże żałuję. Jakże żałuję, że wyszłam. Żałuję teraz, że nie wy-
lałam wtedy cieni z obolałego serca na klinicznie białe poduszki
kanapy pani w kitlu. Jakże żałuję, że wychodząc z gabinetu nie
uśmiechnęłam się z otuchą do małego chłopca, kiwającego się na
krześle w ramionach matki. Że nie powiedziałam mu, że to nie
boli. Że nie skłamałam.

Żałuję, że było zimno, że było ciemno. Że nie wróciłam na pie-
chotę. Że wsiadłam do autobusu. Że płakałam, że szlochałam, że
wyłam. Że ocierałam łzy utrzymaną w ramionach lalką. Żałuję, że
ten miły pan z teczką ustąpił mi miejsca. Że zapytał, co się stało.
Żałuję, że zaufałam jemu, a nie pani w białym kitlu.

Żałuję, że droga była długa. Że miałam czas, że mogłam powie-
dzieć wszystko. Żałuję, że jego oczy rosły i ciemniały z każdą chwi-
lą, że palce na poręczy bieleły od ścisku. Żałuję, że pokazałam mu
moje przedramiona.

Żałuję, że drżący wyszedł na przystanek, że ocierał czoło chus-
teczką. Że spojrzałam przez tylne okno. Że krył twarz w dłoniach,
że targały nim dreszcze. Że chwilę zbyt wcześnie wszedł na pasy.
Że nie zauważył nadjeżdżającego samochodu.

Żałuję, że leżał tak sam na ulicy. Że patrzyłam za nim, dopóki nie
zniknął za zakrętem.

Pierwszy raz w wieku lat dziesięciu. Już wtedy zbyt wiele rozumiałam. Nacięłam się wtedy przy pomocy żyłki, krótko, po wewnętrznej stronie dłoni. Bolało, więc zapomniałam. Zapomniałam, więc przestawało boleć.

Drugi raz gdy miałam piętnaście. Miałam złudną nadzieję na życie. Nakłułam się więc szkolnym cyrkiem, kilkanaście razy, po miękkiej stronie przedramienia. Krwawiło, więc żyłam. Żyłam, więc umierałam.

Trzeci gdy miałam dziewiętnaście. Straciłam wtedy ostatnią szansę. Cięłam się wówczas wściekle, z pasją i zapałem, wszędzie gdzie tylko dosięgałam. Piekło, więc znieczulało. Znieczulało, więc uzależniało.

Osłępłam. Widziałam i wypłakałam już wiele. Wystarczająco wiele. Teraz nie widziałam. Nie widziałam, więc nie płakałam.

Ogłuchłam. Krew przyjemnie wytłumiła nieznośne ryki ludzi, miasta i świata. Teraz nie słyszałam. Nie słyszałam, więc nie płakałam.

Nie czułam. Każdy oddech, pozbawiony posmaku ran, w końcu przychodził mi z łatwością. Teraz nie czułam. Nie czułam, więc nie odczuwałam.

Alkohol. Kojąco topił mi gardło, rozstrajał struny głosowe. Teraz nie myślałam. Teraz nie mówiłam. Nie myślę, nie mówię, nie krzywdzę...

– Halo? Jest tu kto? Jak tu pusto. Jak tu ciemno. Jak tu cicho. Jak tu zimno. Jak na starym strychu, pełnym kurzu i wspomnień. Jak dobrze że cię mam, maleńka laleczko. Tylko ty mi zostałam, wiesz? To ty osuszasz łzy, to ty słyszysz podszepty kroczącej za mną śmierci. Moje podszepty. Ale spokojnie, to już koniec, maleńka. Świat nie istnieje już dla mnie, ja nie istnieję już dla świata. Mimo to jestem. Przepraszam za to. Przepraszam, że jestem.

Czekam tu, dziadku. Zbudź mnie jak przyjdiesz.

Czy to zły sen?

– Dziadku?! - krzyknęłam w koszmarze. Zbudził mnie.

– Dziadku?! - krzyknęłam w koszmarze. Tylko że naprawdę.

Zerwałam się. Oddychałam płytko, serce już odlatywało z suchego podgardla. Nie wiem, jak lalka znalazła się w moich ramionach.

Przycisnęłam ją do duszy. Ugięłam się pod ciężarem własnej głowy, roztarłam skronie. Na ślepo sięgnęłam w bok, do szafki. Po tabletki. Wzięłam dwie. Trzy. Nie popiłam.

Było ciemno choć jasno, zimno, choć gorąco. Być może na odwrót, nieistotne. Rozejrzałam się półprzytomnie po pokoju.

Pokoju? To nie jest mój pokój.

Czy to zły sen?

Po całej skórze rozlał się rój łaskoczących lęków i fobii. Dopiero dreszcz targnął moim sparaliżowanym ciałem, strach poszerzył źrenice. Widziałam wyraźniej. Słyszałam wyraźniej. Czułam więcej. Maleńka laleczka jakby w zwolnionym tempie opadła bezgłośnie w kurz. Nie szamotała się. Była spokojna.

Czy to zły sen?

– Chodź, malutka.

Poszłam. Postawiłam boscie stopy w pyłe.

– Wcale do dziadka nie dzwonisz.

Pierwszy krok zawsze jest najgorszy.

– Jesteś zgrzana, choć dłonie masz lodowate.

Tabletki rozumiały. Tabletki uśmierzały.

– Dlaczego mi niczego nie mówisz?

Życie to sztuka. Nienawidzę sztuki.

– Dlaczego robisz sobie krzywdę?

Tabletki uśmierzały. Tabletki rozumiały.

– Błagam, spójrz na mnie, malutka.

Spojrzałam. Stał tam, daleko. Za oknem, na dole, w śniegu.

– Błagam, nie płacz.

Nie płakałam.

– Zamknij oczy.

Zamknęłam.

– Zaufaj, to nie boli.
Skoczyłam. Nie bolało.

Zgubiłam swoją starą lalkę.
Zniknęła tutaj, na strychu. Wysunęła się z moich drżących dłoni.
Raczej jej nie bolało. Nie cierpiała długo. Błysnęła tylko guziczkiem i utonęła w kurzu. W morzu słonych łez.
Bo tak długo płakałam. Długo roniłam bóle i męki tu, na zapomnianym strychu, w jego najbardziej zapomnianym kącie. Długo płakałam nad nią, nad moją małą najdroższą. Długo płakałam nade mną. Nad tym, co było.
Nad tym, kto był.
Zgubiłam swoją starą lalkę. I dobrze. Niektóre wspomnienia nie zasługują na pamięć. Niech przypadną na zawsze tutaj, na poddaszu, pełnym kurzu i cieni.

